CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 4 Kwietnia 1937 R. NR. 14

Zbigniew Domaniewski

»Oś« belgijska

Mówimy „oś" belgijska. Ulegamy modzie, którą zapoczątkowały Niemcy i Włochy, tworząc „oś Berlin — Rzym". Wokół osi tej chciałyby oba te państwa obracać politykę kontynentu europejskiego. Dzieje się jednak inaczej. Polityka europejska obraca się na razie dokoła osi, przechodzącej przez Bruksele.

Złożyły się na to dwie przyczyny. Po pierwsze, kiedy mowa o zawarciu nowego paktu zachodniego, to Niemcy i Włochy o tym tylko m ó w i ą, a Belgia tego c h c e. Jeśli Niemcy i Włochy n i s z c z ą w Europie p o r z ą d e k polityczny międzynarodowy, to Belgia pragnie go we własnym interesie naprawić, Belgia jest dziś ojczyzną inicjatywy politycznej s z c z e r e j, uczciwej i konstruktywnej, a tym samym przyciąga do siebie wszystkich, którzy pragną ładu i pokoju. Drugą przyczyną „osiowego" znaczenia Belgii jest fakt, że polityka europejska dnia dzisiejszego to polityka, której tematem jest możliwość nowej wojny. Jeśli zaś jutro ma wybuchnąć w Europie wojna, to rola Belgii nie będzie pewnie inna, jak w roku 1914. Belgia była wtedy kluczem sytuacji. Będzie nim i jutro, a dziś chodzi o to, które z wielkich mocarstw klucz ten do ręki dostanie.

Musimy przypomnieć sobie sytuację, jaka powstała w sierpniu 1914. Niemcy, wypowiadając wojnę Rosji, sprzymierzonej z Francją, stanęły wobec konieczności walki na dwóch frontach. Plan operacyjny niemieckiego sztabu generalnego przewidywał zniszczenie sił zbrojnych francuskich od jednego, druzgocącego uderzenia. Po tym dopiero miały nastąpić rozstrzygające działania niemieckie na froncie wschodnim. Uderzenie na Francję utrudniał pas fortec, ciągnący się wzdłuż granicy francusko-niemieckiej; o sile obronnej fortec tych świadczy obrona Verdun. Dlatego też sztab niemiecki uznał za konieczne obejście pasa fortyfikacji francuskich i marsz na Paryż przez słabo uzbrojoną Belgię. Dzisiejsza rola strategiczna Belgii między Niemcami a Francją jest analogiczna. Wzdłuż granicy niemiecko - francuskiej ciągnie się „linia Maginota", tworząca gigantyczną zaporę nawet dla nowoczesnej armii opancerzonej. Granica belgijsko-niemiecka jest dziś silnie umocniona. Ale Niemcy mogliby ją obejść przez terytorium neutralnej Holandii. Granica niemiecko-holenderska nie jest ufortyfikowana, tak samo, jak granice holendersko - belgijska i belgijsko - francuska. I dziś więc uderzenie Niemiec na Francję skierowałoby się, chociaż nie bezpośrednio, przez terytorium belgijskie. Wynika więc z tego, że położenie geograficzne naraża dziś Belgię na takie same niebezpieczeństwo inwazji niemieckiej, jak w roku 1914. Oczywiście, niebezpieczeństwo to istnieje, o ile założymy możliwość czy prawdopodobieństwo zaatakowania Francji przez Niemcy.

Założenie takie było i jest podstawą wszelkiej koncepcji zagranicznej polityki Francji. Po części i Anglia wprowadza możliwość czy prawdopodobieństwo napaści Niemiec na Francję do założeń swej polityki zagranicznej. Tym samym oba mocarstwa liczą się z możliwością nowej inwazji niemieckiej do Belgii. W następstwie takich założeń Belgia zyskuje w oczach polityków znaczenie przedmurza Francji. Zyskuje również znaczenie przedmurza Anglii; „granice Anglii leżą nad Renem", jak wyraził się przed dwoma laty Baldwin. W powiedzeniu tym zresztą nie tkwi nic zasadniczo nowego. Jeśli od roku 1839 do roku 1914 Anglia stała na straży neutralności belgijskiej, to dlatego, że opanowanie przez Niemcy wybrzeży belgijskich zagroziłoby wybrzeżom Anglii. Wprawdzie nikt przed wojną światową nie sprecyzował z takim naciskiem i tak dosadnie znaczenia Belgii dla obrony Anglii. Ale tylko dlatego, że znaczenie to nigdy nie było tak wielkie jak dziś, w epoce armii powietrznych. Rzut oka na mapę objaśni to nam odrazu. Gdyby niemieckie eskadry bombowe chciały polecieć na Londyn, omijając neutralną Belgię i Holandię, to droga ich — zaczynająca się we Fryzji — wyniosłaby 800 klm. Odległość ta znajduje się na granicy zasięgu wielkich samolotów bombowych; bombardowanie tak odległych celów jest niezmiernie trudne i wymaga bardzo drogich samolotów. Gdyby zaś samoloty niemieckie — startując w Nadrenii — wzięły kurs na Londyn przez Belgię, to miałyby do przelecenia tylko 400 km. Jeżeliby w dodatku wojska niemieckie zajęły Belgię i tam umieściły swe bazy lotnicze, to dzieliłoby je od Londynu niespełna dwieście kilometrów — pół godziny lotu. W tym właśnie sensie należy rozumieć znaczenie Belgii jako przedmurza Anglii: neutralność czy siła zbrojna Belgii nie powinny dopuścić do przelotu samolotów niemieckich nad jej terytorium.

Okoliczność ta, jak i fakt, że ani granica belgijsko-holenderska, ani też granica belgijsko - francuska nie stanowią zapory dla nowoczesnej armii niemieckiej, tłumaczą rolę Belgii w zachodnim systemie bezpieczeństwa. Ale medal ten ma również i odwrotną stronę. Francja posiada zobowiązania na Wschodzie, które mogą zmusić ją do zaatakowania Niemiec. Ciosem najdotkliwszym, jaki Francja mogłaby zadać Niemcom, byłoby zniszczenie z powietrza okręgu przemysłowego w Westfalii. Nie ulega również wątpliwości, że je-

śli francuski sztab główny zdecydowałby się na ofenzywę w głąb Niemiec, to celem tej ofenzywy byłoby zabranie fabryk rejonu westfalskiego, którego sercem jest słynne Essen. Otóż rzut oka na mapę wskazuje, że wychodząc z Lotaryngii i dążąc do Essen armia francuska musiałaby przejść około 250 km terytorium niemieckiego. Natomiast wychodząc z granicy belgijsko - niemieckiej, miałaby ona do przejścia tylko 90 km. Takie same proporcje zachodzą oczywiście dla lotnictwa. Wszystko to sprawia, że Belgia jest idealną bramą wyjściową dla armii francuskiej, śpieszącej z pomocą wojskom swych sojuszników na Wschodzie.

Zrozumiałe więc jest, że jeśli Hitler, który rzucił w „Mein Kampf" hasło: idziemy na Wschód!, uzbroił dziś Niemcy, wyciskając z narodu do ostatka jego zasoby gospodarcze — to „oś", dokoła której ma się kręcić polityka europejska, musi przechodzić przez Brukselę.

*

Belgia jest kluczem strategicznym, o którego posiadanie walczą już od kilku stuleci mocarstwa zachodnie. Na przełomie XII i XIII stulecia, gdy we Francji potęga monarsza przechodziła kryzys, Flandria się uniezależniała. Zarówno cesarstwo Niemieckie (do którego należały prowincje na wschód od Skaldy) jak i Anglia, faworyzowały ten proces indywidualizacji, w którym widziano zaporę przeciw ekspansji francuskiej. W roku 1214 król francuski Filip August, chcąc utrwalić władzę swą w hrabstwie Flandrii, musiał zwalczyć (pod Bouvines) koalicję angielsko-niemiecko - flamandzką. Gdy Ludwik XIV, dziad króla hiszpańskiego Filipa V, zapragnął uczynić z Belgii bazę operacyjną dla imperializmu francuskiego, znów powstała koalicja antyfrancuska, angielsko - holenderska. Traktatem z 9 października 1709 r. Anglicy obiecywali Holendrom, na wypadek zwycięstwa nad Francją, prawo utrzymywania garnizonów w fortecach na granicy belgijsko - francuskiej. Była to więc odwrotność idei, która przyświecała politykom francuskim w roku 1920, gdy Francuzom chodziło o uzyskanie dostępu do umocnień belgijskich na granicy belgijsko - niemieckiej, jako strażnic przed imperializmem niemieckim. Jeszcze w końcu wieku XVIII garnizony honlenderskie stacjonowały na granicy belgijskiej, walcząc z wojskami francuskimi. Ale gdy w dwa lata po utworzeniu się niepodległego państwa belgijskiego Holendrzy wkroczyli do Belgii i stanęli u wrót Brukseli (1832), wtedy z kolei armia francuska broniła Belgii przed najazdem sąsiada.

Terytorium dzisiejszej Belgii i jego mieszkańcy stanowili przez wiele lat przedmiot polityki c u d z e j: polityki wielkich mocarstw; przedmiot łupu, albo kość, o którą walczono. Położenie takie było dla Belgii rozpaczliwe. W roku 1830, z uzyskaniem niepodległości, państwo belgijskie musiało znaleźć na to radykalną radę. Król Leopold I postanowił, wzorem Szwajcarii, uzyskać dla Belgii międzynarodowy statut „trwałej neutralności"*). Dzięki poparciu Anglii doszły do skutku umowy z 19 kwietnia 1839, zawarte między Belgią a Holandią, oraz między Belgią i Holandią a Prusami, Austrią, Francją, Anglią i Rosją. W myśl umów tych Belgia miała być we wskazanych granicach państwem niezależnym i zawsze neutralnym, zobowiązanym przestrzegać tej samej neutralności wobec wszystkich innych państw. Ta rola Belgii, jako państwa trwale neutralnego, mającego być czynnikiem równowagi w Europie Zachodniej, skończyła się siłą faktu inwazji niemieckiej w sierpniu 1914. W historii Belgii, na przestrzeni od XII do XX stulecia, okres trwałej, umownej neutralności — od 1839 do 1914 — był tylko epizodem. Istotna fizjonomia historii Belgii wyraża się w jej innej roli — tragicznej roli bazy operacyjnej, służącej raz Anglii, raz Holandii, raz Francji, raz Niemcom. Belgia, położona między Francją a Niemcami, da się również przyrównać do wahadła. Odchylało się ono — chcąc nie chcąc — w ciągu stuleci to w jedną to w drugą stronę. Na ruch jego składały się różne siły, a między nimi impuls angielski, jak również ciążenie flamandzkie i ciążenie walońskie. Ciążenia te w sprawach polityki zagranicznej wyrażają się naogół w tym, że Walonowie dają się łatwo zjednać dla idei utworzenia z Belgii przedmurza Francji, podczas gdy Flamandowie walczą o ideę bezwzględnej neutralności. Flamandowie przeciwstawiali się już planom Leopolda II umocnienia linii Mozy i wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej. Odpowiednie ustawy Parlament uchwalił, w roku 1887, za naleganiem króla przy opozycji flamandzkiej. Przyczyną opozycji tej było skłanianie się polityki belgijskiej w kierunku Francji, co ujawniło się szczególnie silnie w latach 1906 i 1908, przy okazji konferencji kolonialnych. Po wojnie światowej Belgia, ulegając nastrojom profrancuskim, zwróciła się ku Francji już z całą stanowczością. W roku 1920 zawarty został sojusz francusko - belgijski. Belgia stała się przez to — mówią jedni — bastionem we francuskim systemie bezpieczeństwa. Inni znów — wrogowie Francji — dowodzą, że Belgia stała się bastionem imperializmu francuskiego. Wschodnie sojusze Francji mają to twierdzenie uzasadniać.

Znając historię Belgii, można się było w roku 1920 spodziewać, a nawet przepowiedzieć, że wahadło polityczne belgijskie, odchylone krańcowo ku Francji, zacznie prędzej czy później ruch powrotny. Można było również być pewnym, że impuls do tego ruchu powrotnego da Anglia. Istotnie, Anglia, zaniepokojona okupacją zagłębia Ruhry przez Francję i Belgię — dowodem supremacji politycznej Francji na kontynencie, wymyśliła w roku 1925 pakt lokarneński, który postawił Belgię na stanowisku **p o ś r e d n i m** między Francją a Niemcami. Belgia miała pomagać Francji w razie ataku Niemiec na Francję, a Niemcom w razie ataku Francji na Niemcy**). Pakt reński upadł 7 marca 1936, gdy wojska niemieckie wkroczyły do strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenii niemieckiej. W dwanaście dni później powstało na miejsce paktu reńskiego coś, co było z punktu widzenia roli Belgii ponownym odchyleniem ku Francji: Anglia, Francja i Belgia spisały w Londynie umowę, której mocą Belgia, oswobodzona, z teoretycznych zresztą, lokarneńskich zobowiązań bronienia Niemiec przed ewentualną napaścią ze strony Francji, stała się wyłącznie gwarantką nienaruszalności granic Francji ze strony Niemiec. Zauważmy przy tym: impuls dała Anglia, tym razem zaniepokojona wzrostem siły Niemiec. Ale impulsowi angielskiemu zaczęło przeciwstawiać się ciążenie flamandzkie ku neutralności. Już w roku 1931 Flamandowie, poparci przez socjalistów, obalili gabinet Jaspara swą opozycją przeciw planom fortyfikowania północnej granicy Belgii. Dzięki fortyfikacjom tym armia francuska mogłaby bronić Belgii i Francji przed armią niemiecką, omijającą, w drodze złamania neutralności Holandii, fortyfikacje na granicy belgijsko - niemieckiej. Nowe wybory do Parlamentu — w maju 1936 — wykazały silny wzrost nacjonalizmu flamandzkiego, a w miesiąc po wyborach powstało na zjeździe w Lowanium ponadpartyjne Zjednoczenie Flamandzkie, które zwróciło się z całą stanowczością przeciwko polityce sojuszu z Francją.

Ciążenie flamandzkie ku neutralności zaczęło działać z wielką siłą. Pod wpływem tego ciążenia i innych jeszcze, ogólno-politycznych względów, król Leopold III wygłosił dnia 14 października na posiedzeniu rady ministrów przemówienie o polityce zagranicznej, w którym zdefiniował swój punkt widzenia w słowach następujących: „Każda polityka jednostronna osłabia naszą pozycję na zewnątrz i budzi słusznie, czy niesłusznie, p e w n e r o z b i e ż n o ś c i w e w n ą t r z k r a j u. Sojusz, nawet czysto obronny, nie prowadzi do celu, gdyż bez względu na szybkość pomocy sojusznika nadejdzie ona już po pierwszym uderzeniu najeźdźcy, które będzie piorunujące. Przeciwstawić się temu uderzeniu będziemy musieli sami. Dlatego też musimy prowadzić politykę wyłącznie i jedynie belgijską. Polityka ta winna zmierzać stanowczo do tego, aby uniezależnić się od zatargów, mogących wyniknąć między naszymi sąsiadami. Odpowiada ona naszemu ideałowi narodowemu. Odpowiadać będzie ona dążeniom Belgów, ożywionych głębokim i szczerym pragnieniem pokoju".

*) Por. „Naród i Państwo" Nr. 10 b. r., Notatnik Zagraniczny.

**) Por. „Naród i Państwo" Nr. 12 — 13 b. r., Notatnik Zagraniczny.

„Wielkie znaczenie posiadało skrupulatne stosowanie się do zasady neutralności i przyniosło ono korzyść Belgii w czasie wojny i pokoju. Sytuacja moralna Belgii byłaby o wiele słabsza na wewnątrz, a cały świat nie darzyłby jej taką sympatią, gdyby najeźdźca mógł wysunąć argument jej sojuszu z którymkolwiek ze swych przeciwników".

Jednym słowem król Belgów wyraził chęć uwolnienia się od sojuszu z Francją. Wahadło belgijskie powróciło, po krańcowym odchyleniu ku Francji, do pozycji neutralnej.

*

Cytowane wyżej oświadczenie króla Leopolda nie określa ściśle pozycji, jaką Belgia zajmie na płaszczyźnie międzynarodowej, politycznej i prawnej. Na ścisłe sprecyzowanie międzynarodowej pozycji Belgii gabinet belgijski jeszcze się nie zdecydował. Okoliczność ta sprawia, że ze stolic, bezpośrednio zainteresowanych międzynarodową rolą Belgii, czynione są wysiłki, aby wywrzeć odpowiedni wpływ na ostateczne sprecyzowanie belgijskiej polityki zagranicznej.

Jak dotychczas Belgia: 1) odrzuca jakiekolwiek bądź zobowiązanie pomocy zbrojnej dla któregokolwiek z sąsiadów, 2) postanawia uzbroić się w takiej mierze, aby zniechęcić „potencjalnego napastnika" do wtargnięcia na jej terytorium celem zaatakowania państwa trzeciego, 3) pragnie, ale się nie zobowiązuje, pozostać neutralną w razie konfliktu europejskiego, 4) uznaje nadal wszelkie zobowiązania, wynikające dla niej z członkostwa w Lidze Narodów. — Belgia ogłasza więc w zasadzie „zbrojną neutralność", ale o powrocie jej do „trwałej neutralności" z roku 1839 „nie może być — jak oznajmił w parlamencie były minister spraw zagranicznych Hymans — w żadnym razie mowy".

Belgia dokonywuje po raz drugi w historii swej wysiłku, aby przestać być wahadłem, popychanym przez wszechpotężną Anglię raz ku Francji, raz ku Niemcom, jak to było niejednokrotnie w czasie od XII do XX stulecia. W roku 1839 Belgia sądziła, że osiągnie to, przyjmując statut „trwałej neutralności". Jednak doświadczenie wykazało, że międzynarodowe prawo umowne traci często wartość wobec racji politycznych, popartych siłą. To jeden powód, dla którego Belgia nie powraca do neutralności z roku 1839. Drugim powodem były pośrednie następstwa położenia trwałej neutralności. Belgowie żyli w Europie w okresie neutralności jak pod kloszem. Naród belgijski uwolnił się na płaszczyźnie życia międzynarodowego od nieustannego baczenia na niebezpieczeństwo i od walki. Społeczeństwo belgijskie, odwrócone całkowicie od tętniącej w Europie międzynarodowej walki o byt polityczny, zajęte wyłącznie handlem i produkcją przemysłową, walcząc tylko o zasadę wolnego handlu międzynarodowego — postradało w ten sposób poczucie solidarności wewnętrznej wobec niebezpieczeństwa zewnętrznego. Tkwiło tym mocniej w rozbieżnościach społecznych i politycznych wewnętrznych, spotęgowanych współistnieniem dwóch równorzędnych elementów etniczno - kulturalnych, walońskiego i flamandzkiego. Statut trwałej neutralności, przyjęty w dziewięć lat po uzyskaniu pełnej niepodległości, nie zapisał się w historii Belgii na korzyść wewnętrznej konsolidacji narodowej.

Z drugiej znów strony — jak to wspomniał król Leopold w deklaracji swej z 14 października 1936 — ścisłe przestrzeganie neutralności było główną przyczyną, dla której Belgia mogła jednomyślnie i z mocą przeciwstawić się brutalnemu ultimatum niemieckiemu z 2 sierpnia 1914. Belgia „nie sądziła, by naród nawet najsłabszy mógł zapoznać swe obowiązki i poświęcić swój honor, ugiąwszy się małodusznie przed przemocą" — brzmiały słowa bohaterskiej odpowiedzi na ultimatum niemieckie. A więc neutralność, do której Belgia dobrowolnie się w roku 1839 zobowiązała, stało się w roku 1914 ideałem, który złączył naród i w którego obronie Belgowie z entuzjazmem chwycili za broń. Po Wielkiej Wojnie inne ideały zaczynają rządzić społeczeństwem międzynarodowym. Z utworzeniem Ligi Narodów nie tylko że pojęcie neutralności przestaje istnieć, ale naodwrót: powstaje obowiązek działania. Napaść jednego państwa na drugie nie jest dla członków Ligi sprawą cudzą, lecz własną. *Tua res agitur* powinni powiedzieć sobie wtedy członkowie; „twoja rzecz działać" — będzie musiała powiedzieć sobie i Belgia, jeśli wybuchnie w Europie konflikt wojenny. To będzie obowiązek, którego spełnienie może stać się punktem honoru narodu belgijskiego.

Piszemy — może stać się punktem honoru. Podkreślamy słowo może, gdyż obowiązek ligowy niesienia pomocy jest względny. W sprawie, która Belgii dotyczy bezpośrednio — w kwestii zezwolenia na przemarsz obcych wojsk przez własne terytorium, istnieje interpretacja art. 16 statutu Ligi, zawarta w załączniku F aktu końcowego konferencji lokarneńskiej. Załącznik ten zawiera projekt listu delegatów Anglii, Francji, Belgii, Włoch, Polski i Czechosłowacji do delegacji niemieckiej, treści następującej: „delegaci... (wspomnianych państw) oświadczają na życzenie delegacji niemieckiej, że zdaniem ich obowiązki, wynikające z art. 16 statutu, należy rozumieć w tym sensie, że każdy członek Ligi ma współpracować lojalnie i skutecznie, aby szanować statut i aby przeciwstawić się każdemu aktowi zaczepki w mierze, która jest zgodna z jego położeniem wojskowym i liczy się z jego położeniem geograficznym". Czyli, innymi słowy, gdyby np. Liga Narodów zaleciła członkom swym współdziałać wojskowo przeciw agresji niemieckiej na Wschodzie, Belgia sama by ostatecznie decydowała, czy przepuści przez terytorium swe armię francuską śpieszącą z pomocą sojusznikom wschodnim, czy pozostanie neutralną.

Okoliczność ta posiada dla Belgii wielkie znaczenie, nie tylko zasadnicze, ale i szczególne. Zobowiązania Francji na europejskim Wschodzie posiadają podkład polityczny rozmaity. Francja łączy się przez te zobowiązania ze sprawami najróżnorodniejszymi, o wartości — z punktu widzenia ideału sprawiedliwości — różnorodnej. Francja działa nadto w myśl uchwał swego parlamentu, a większość bywa w nim w rozmaitych kadencjach o światopoglądzie zmiennym, mogącym doprowadzić do działań wojennych o celach różnorodnych; kryzys hiszpański jest tego najlepszym dowodem. A Belgia gotowa jest otworzyć terytorium swe dla armii francuskiej tylko w jednym wypadku: o ile ideał, w którego obronie armia francuska stanie do walki z Niemcami, będzie tak samo ideałem narodu belgijskiego.

Jeśli więc Belgia zajmuje dziś stanowisko zbrojnej neutralności, jeśli nie neguje, że może rzucić swe walory wojskowe na szalę wydarzeń międzynarodowych, ale równocześnie uchyla się od wszelkich zobowiązań w tym względzie — to stanowisko jej można sprowadzić do tego: chęć zachowania swobody w ocenie wartości ideału, w którego imię mały naród belgijski gotów byłby pójść z bronią w ręku w ogień europejskiej zawieruchy wojennej.

Oś polityki międzynarodowej, przechodząca dziś przez Brukselę, „oś belgijska", dookoła której obracają się i będą się obracać w przyszłości koncepcje dyplomatyczne, powinna więc nosić miano „oś krytyki ideałów międzynarodowych". Nazwa ta wyraża piękną i nadzwyczaj odpowiedzialną rolę, jaka może przypaść Belgii już w niedalekiej przyszłości.

Dr. Ludwik Ręgorowicz

Zmiany granic województw w cyfrach

Wniesiony do Sejmu przez Rząd projekt ustawy o zmianie granic województw: Łódzkiego, Pomorskiego, Poznańskiego i Warszawskiego, nasuwa pytania: jak ta zmiana oddziała na obszar, liczbę ludności i jej skład pod względem wyznaniowym i językowym wymienionych województw, zwłaszcza województwa Pomorskiego i Poznańskiego.

Pod względem obszaru posiadały zainteresowane województwa:

Łódzkie	19.034 klm²
Pomorskie	16.407 „
Poznańskie	26.564 „
Warszawskie	29.470 „

Województwo Łódzkie, nie zyskując nic, traci na rzecz Poznańskiego powiaty:

Kaliski	1.481 klm²
Kolski	1.220 „
Koniński	2.368 „
Turecki	1.248 „
Razem	6.317 klm²

Obejmować zatem będzie na przyszłość tylko 12.717 klm².

Województwo Poznańskie traci na rzecz Pomorskiego powiaty:

Bydgoszcz m.	75 klm²
Bydgoszcz powiat	1.334 „
Inowrocław m.	37 „
Inowrocław powiat	994 „
Szubin	917 „
Wyrzysk	1.163 „
Razem	4.520 klm²

W rezultacie województwo Poznańskie zyskuje 1.797 klm² i obszar jego będzie na przyszłość wynosić 28.361 klm².

Województwo Pomorskie traci tylko powiat Działdowski o obszarze 842 klm², zyskuje zaś od województwa Poznańskiego wymienione już powiaty, o łącznym obszarze 4.520 klm², od województwa Warszawskiego zaś powiaty:

Rypin	1.214 klm²
Lipno	1.535 „
Nieszawa	1.278 „
Włocławek	1.325 „
Razem	5.352 klm²

Zyskuje ono zatem 9.030 klm² i na przyszłość obszar jego będzie wynosił 25.437 klm².

Województwo Warszawskie traci na rzecz województwa Pomorskiego wymienione już 4 powiaty, zyskuje natomiast od województwa Pomorskiego tylko powiat Działdów. W rezultacie traci ono 4.510 klm² i obszar jego będzie wynosił na przyszłość tylko 24.960 klm².

Zmiany granic wojewódzkich pociągają— z natury rzeczy — zmiany w liczbach ludności i jej składzie pod względem wyznaniowym i językowym.

Województwo Łódzkie straci przez oddanie województwu Poznańskiemu 4 powiatów ludności według spisu z 1931 r. w powiatach:

	Ogólna liczba ludności	Ludność polska	inne
Kalisz	195.915	169.571	26.344
Koło	119.421	102.123	17.298
Konin	207.759	183.402	24.357
Turek	101.866	94.522	7.344
Razem	624.961	549.618	75.343

Liczba ludności województwa Łódzkiego wynosić będzie zatem na przyszłość nie 2.633.000, ale tylko 2.008.000.

Województwo Poznańskie straci na rzecz województwa Pomorskiego w 6 powiatach ludności:

	Ogólna liczba ludności	Ludność polska	inne
Bydgoszcz m.	117.220	104.647	12.553
„ pow.	58.439	50.247	8.192
Inowrocław m.	34.364	33.498	866
„ pow.	48.594	40.956	7.643
Szubin	47.825	37.091	10.734
Wyrzysk	66.873	53.057	13.816
Razem	373.300	319.496	53.804

zyskuje zatem w ostatecznym rezultacie 251.661 ludności i będzie mieć na przyszłość nie 2.114.220, ale okrągło 2.366.000 ludności.

Województwo Pomorskie traci na rzecz województwa Warszawskiego 42.716 ludności powiatu Działdowskiego, w tym 39.645 ludności polskiej i 3.006 innej, zyskuje natomiast prócz 373.300 ludności w wymienionych już powiatach województwa Poznańskiego 456.767 ludności z województwa Warszawskiego w powiatach:

	Ogólna liczba ludności	Ludność polska	inne
Rypin	86.607	74.136	12.471
Lipno	104.500	84.609	19.891
Nieszawa	117.874	104.538	13.236
Włocławek m.	55.966	45.453	10.513
„ pow.	91.820	81.455	10.365
Razem	456.767	390.291	66.476

Ogółem zyskuje województwo Pomorskie 830.067 ludności i będzie jej posiadać nie 1.086.300, ale 1.874.610.

Województwo Warszawskie traci 456.767 ludności w wymienionych już powiatach zachodnich, a zyskuje z powiatem Działdowskim 42.716 ludności. Będzie zatem posiadać nie 2.530.675, ale tylko 2.116.624.

Pod względem wyznaniowym otrzyma województwo Pomorskie ludności wyznania

rzymsko - katolickiego	699.504
ewangelickiego	96.133
mojżeszowego	29.853
innego	4.577
Razem	830.067

Pod względem narodowości:

Polaków	722.581
Niemców	77.843
Żydów	27.330
innych	2.313
Razem	830.067

Procent ludności wyznania ewangelickiego w województwie Pomorskim w nowych granicach wzrośnie z 9% na 10,2%, mojżeszowego z 0,2% na 1,7%. Procent ludności polskiej spadnie o 1% do 88,7%, ludności niemieckiej o 0,2%, ludności żydowskiej wzrośnie o 1,5%.

Zmian głębszych w zakresie stosunków wyznaniowych i narodowościowych zmiana granic województwa Pomorskiego nie pociągnie. Zajdą z pewnością zmiany w dynamice pracy ludności w rozmaitych dziedzinach. Inaczej układać się będą w województwie Pomorskim stosunki gospodarcze, po otrzymaniu urodzajnych powiatów Kujawskich (Inowrocław, Nieszawa, Włocławek) i takich miejscowości przemysłowych jak: Bydgoszcz, Inowrocław, Włocławek.

Przemysł kaliski związany dość silnie z Łodzią będzie potrzebował pewnego czasu, by się przystosować do nowych warunków.

Przyłączenie powiatu Działdowskiego do województwa Warszawskiego będzie miało znaczną doniosłość polityczną. Należy przewidywać, że powoli wytworzy się ciążenie ludności mazurskiej do Warszawy i że ludność ta w środowisku odmiennym wyznaniowo, ale pokrewnym sobie co do pochodzenia, poczuje się dobrze i zrozumie, że ziemia mazurska nie będzie się dla niej kończyć w granicach Polski na Działdowie z okolicą, ale, że obejmuje ona również powiaty: Mławę, Przasnysz, Pułtusk, Maków województwa Warszawskiego i szereg dalszych powiatów województwa Białostockiego.

Anonim

Artykuł dyskusyjny — nadesłany

W sprawie »fabryk, które nie zbudują się same«

Od nieznanego Redakcji autora otrzymaliśmy nieco swoisty, lecz ciekawy artykuł polemizujący z niektórymi wywodami zamieszczonego przez nas w poprzednim nrze artykułu dyskusyjnego b. podsekretarza stanu, p. Tadeusza Lechnickiego p. t. „Fabryki nie zbudują się same". Artykuł ten, w imię swobody rozpoczętej dyskusji, zamieszczamy, zastrzegając się, że równie jak art. p. Lechnickiego, nie może on być uważany za wyraz poglądów Redakcji. Ze swej strony zaznaczamy, że do spraw poruszonych w obu powyższych artykułach powrócimy w najbliższych numerach naszego pisma.

REDAKCJA.

Proszę redakcję o wydrukowanie mego artykułu anonimowo. Nie dlatego, abym obawiał się odpowiedzialności za swoje słowa, ale dlatego, że ekonomia polityczna nie jest moją specjalnością. Mogę być przywalony stertą tabel statystycznych, które opracowali referenci, a płk. Lechnicki w posagu z Ministerstwa wyniósł, nie będę mógł odpowiadać, zblamuję się i po co mi to potrzebne na stare lata.

Niemniej, skoro już wprowadzono modę na „prostych ludzi" (za których firmą nieraz ukrywają się ludzie wcale nieprości i wcale nie dobrotliwie prostoduszni), to myślę, że tym razem ma prawo przemówić autentyczny „prosty człowiek", mający za sobą jednak dwa atuty: 1) Że w większej mierze niż płk. Lechnicki na swojej skórze odcierpiał tępienie nieopancerzonego producenta, 2) Że stał dosyć blisko przez cały czas ruchu zwanego „Naprawą", że mu się przyglądał, nie będąc związanym przynależnością.

Siłą i słabością tego środowiska jest geneza jego ponadklasowa i ponadsferowa. Stąd dosyć szerokie pole zainteresowań, nie regulowanych tak prymitywnymi bodźcami jak interes partykularny, choćby największej grupy. A pojęcie interesu narodowego diablo skomplikowało się od czasów przedniepodległościowych.

Jednak i w tych przedniepodległościowych czasach obóz „młodzieży narodowej", obecni „naprawiacze", do którego ongiś należałem ja, a do których, jak słyszę, do dziś należy płk. Lechnicki, miał pełne przeczucie tych dylematów, które przed nim staną w chwili odzyskania własnego państwa. Czymże bowiem inaczej wytłumaczyć rozłam z Zarzewiakami. Ci ostatni, kładący cały nacisk na przygotowania do walki zbrojnej, przez pewną radykalność wypowiedzi stwarzali nieraz złudzenie optyczne, że mają radykalniejszy program. W gruncie rzeczy jednak — to w pozornie teologicznych i nieco akademickich upieraniach się ich przeciwników, że „Niepodległość nie jest celem, ale środkiem", to w dyskusjach na temat słów Żeromskiego, któremu było za jedno „czy go będzie do więzienia prowadził żołnierz z dwugłowym czy z białym orłem na czapce" — tkwiła melodia, która teraz rozbrzmiewa coraz pełniej.

Przeżyliśmy od tamtych dni akademickich duży kawał życia i zyskaliśmy wiele doświadczeń. Przychodzimy do wspólnego kotła i wrzucamy co kto ma; a jak chcą niektórzy, usiłujemy się zgrać wzajemnie na różnych fortepianach.

Kolega Lechnicki (pozwalam sobie tak go nazwać, bo pamiętam go z któregoś zjazdu), mówi obecnie głosem nieskrępowanym. Głos ten na zjeździe działaczy gospodarczych BB, powołanym z inicjatywy p. wiceministra Lechnickiego, był nieco inny („Pragnę parę słów poświęcić etatyzmowi. Przy bezstronnej i skrupulatnej analizie wykazu udziałów Państwa w przedsiębiorstwach przemysłowych można stwierdzić, że poza utrzymaniem udziału w przedsiębiorstwach, będących własnością skarbu b. zaborców, istotnie poważne zaangażowania widzimy jedynie w dwóch grupach przedsiębiorstw, t. zn. w chemicznej oraz w grupie zakładów stanowiących elementy niezbędnej niezależności obronnej..."). Płk. Lechnicki jest teraz wolny w wypowiedziach i przyznaje, że państwo weszło w życie gospodarcze w sposób nieznośny, że Polska jest „pokratkowana na tysiączne kwadraty. Każdy kwadrat jest eksploatowany przez jakiś przywilej, koncern, prerogatywę kartelową, zmowę jawną lub też ukrytą, etatystyczny eksperyment i t. d.". A ponieważ wszystkie te przywileje nie są możliwe bez zgody Państwa, ponieważ wszystkie się opłacają mniej lub więcej istotnymi daninami na rzecz skarbu, więc, nawet bez „pomocy bezstronnej i skrupulatnej analizy", która niechże zostanie przywilejem fachowym gospodarczych podsekretarzy stanu, stwierdzić możemy ustami kolegi Lechnickiego, że każdy centymetr Polski zjadany jest przez etatyzm.

To nam przyniósł do wspólnego kotła powracający z wycieczki w sfery rządzące dawny kolega. Ja ze swej strony przynoszę doświadczenie założyciela i kierownika samodzielnego warsztatu o kapitaliku zakładowym 40.000 zł, doświadczenie człowieka, który — zamiast kupić kamieniczkę na Grochowie — rzucił się z głową i zapasem dużej energii we własne przedsiębiorstwo w latach koniunktury, utrzymał je i ugruntował, ale kosztem tak nadmiernych wysiłków, które w jako tako normalnych warunkach stanowiłyby o dużym powodzeniu. Tymczasem w naszych warunkach osiągnąłem najwyższą chlubę naszego producenta, że nigdy dotąd weksel nie był protestowany. Przy obrotach 600 — 800 tysięcy rocznie, przy stale rosnących magazynach, przy pensji tysiąc złotych wypłacanej sobie, przy dużej zewnętrznej pomyślności w pracy warsztatu, nie byłem w stanie przez dziesięć lat istnienia przedsiębiorstwa ani razu podjąć jakiejkolwiek dywidendy. Sądzę, że do przykładów, które cytuje płk. Lechnicki, warto dołączyć i ten.

Ale ciekawsze byłoby dołączyć doświadczenia moich kolegów z tejże samej branży. Jest to gałąź przemysłu nie chroniona przez żadne przywileje ani monopole, ani nie skartelizowana, operująca średnimi kapitałami, działającymi indywidualnie i w rozproszeniu. Otóż w ciągu tego dziesięciolecia większość moich kolegów czy konkurentów ogłosiła nadzory lub upadłości.

Byli to przeważnie ludzie, którzy dobrze sobie dawali radę w czasach przedwojennych. Obecnie wyparł ich nowy typ przedsiębiorcy, obcy w branży. Ci nowi producenci byli to ludzie, robiący nieraz duże obroty, ale nie prowadzący ksiąg. Za ich przykładem począł się odpływ z branży do tego typu „sklepikarskiego", skoro charakter wytwórczości nie nadawał się do skartelizowania.

Te doświadczenia kazałyby mi poszerzyć tezę płk. Lechnickiego: że w Polsce mogły się ostać tylko przedsiębiorstwa skartelizowane, lub etatystyczne.

W Polsce, w której uczciwy średni wytwórca był wyjątkowo bezbronny, ostawały się przedsiębiorstwa, przystosowane do anarchii gospodarczej, którą zrodził autokratyzm urzędniczy i niekontrolowane bezprawie. Z trzech kategorii przedsiębiorstw, które broniły siła, prawo, wykręt, — te pośrednie okazały się najsłabiej bronione.

Zdawałoby się, że zgadzamy się z płk. Lechnickim, widzimy jednakowo ostro tę krzywdę, która spotyka pracę w Polsce. Ale mam wątpliwości, czy znajdujemy jednakowe rozwiązanie. Płk. Lechnicki widzi dwa logiczne rozwiązania: albo przedwojenne metody, albo gospodarka planowa. Osobiście wypowiadam się za pierwszym „albo".

Trudno się oprzeć czarowi tej melodii, która mówi o rzeczach znanych, z którymi myśmy się zrośli. Odpowiedzialność osobista, uczciwość nagrodzona, ryzyko, dopingowane zyskiem osobistym, oszczędność człowieka gospodarującego na własnym warsztacie — jakżeż to bezsporne prawdy, wpajane jeszcze z pierwszych czytanek w dzieciństwie, mające cały Dickensowski, Prusowski aromat, dobrą tradycję wielu pokoleń.

W imię czego mamy to wszystko kopnąć i pędzić do innych stosuneczków, w których nadęte durnie z za biurek urzędowych będą kierowały naszą pracą, albo ludzie sprytni z gabinetów kartelowych będą strzygli głupich entuzjastów?

Bardzo, bardzo silną pozycję ma płk. Lechnicki...

Ale przecież dyliżanse z epoki Dickensa stoją w muzeach — ich miejsce zajęły auta i aeroplany. Ale przecież znikł z ulic posłaniec w czerwonej czapce, którym Prus komunikował się z „Tygodnikiem Ilustro-

wanym". Ich miejsce zajął telefon. Tym telefonem obecnie prędzej się można rozmówić z New Yorkiem, niż dawniej z warszawską redakcją. Świat straszliwie się zbliżył, świat straszliwie zajrzał sobie w oczy. Sąsiad sąsiadowi przeliczył każde ziarnko w spichrzu, wypadł z szeregów nieunowocześniony producent, zwarła się w straszliwy masyw maszerująca wytwórczość świata. Wielka Wojna dała jej taktykę i szyk ubezpieczony, każdy tu czynnik prześwietlono i zrozumiano, że nie dosyć mieć w Państwie dobrze pracujących obywateli i surowiec, że jeśli nie dać planu ich pracy, to pewnego dnia do sprawiedliwie odprawującego pod dębem gospodarcze sądy płk. Lechnickiego przyszłyby chamy sąsiedzkie, nie umiejące się bawić i zrobiłyby mu „kęsim" niegorsze niż za tatarskich najazdów. Nie potrzebowałyby może nawet przychodzić fizycznie :sami byśmu się stali drożsi, gorsi, niekonkurencyjni, uwstecznieni i sami zaczynalibyśmy wyciągać szyję pod chomont.

I dlatego, dlatego ze szpalt i z kół ludzi, którzy ongiś sobie powiedzieli, że „Niepodległość jest środkiem", a że wiecznym i żywym jest interes narodu, powinna iść inna melodia, może mniej słodka i upajająca, ale równocześnie mniej usypiająca i odwracająca wzrok ku przeszłości.

To nie planowa gospodarka zawiniła, że mamy czy mieliśmy rozpanoszenie w Polsce przywileju osobistego. To nie etatyzm ten, jakibyśmy chcieli widzieć. To zawiniło to, że na nowe drogi etatyzmu, na które nieuchronnie jest wpychane nowoczesne państwo, weszła Polska nastawiona zbożnie według tych zasad przeszłości, które się tak Panu podobają. Powstał potworek z etatystyczną głową, kartelowym korpusem i wolnogospodarczymi odnóżkami. Wszystkie wady minionej epoki -- chciwość zysku, światopogląd emerytalny, protekcję, reprezentację, używanie, nierównomierny podział dochodu społecznego zachowaliśmy — a wszystkich jej plusów, a więc demokracji, poszanowania prawa, rentowności, opłacalności ryzyka, kultu dla jednostki i osobistej odpowiedzialności — nie dały nam zachować skomplikowane procesy życia powojennego.

I dlatego mówię do płk. Lechnickiego:

— nie da się zachować przedwojenny sposób pracy, do którego Pan wzdycha.

I dlatego mówię do przeciwników p. Lechnickiego:

— zanim nie dokona się bardzo głęboki przewrót w Polsce, nie da się prowadzić gospodarki planowej, bo będziemy tuczyć lenistwo urzędnicze i zdzierstwo spekulantów.

Ja myślę, że ten przewrót będzie wymagał daleko idących środków, może nie mniej drastycznych niż strejki okupacyjne, które tak gorszą p. Lechnickiego. W swej łaskawości gotów przyznać prawo moralne robotnikom „Mortimera", którzy bronili się przed zatopieniem kopalni. A czyż ci wszyscy robotnicy, którzy urządzają strejki okupacyjne, nie czują się dziś nieco podobnie jak tamci na Mortimerze?

Płk. Lechnicki marzy o grupie młodych dzielnych ludzi, którzy by przyszli z realnym programem uprzemysłowienia kraju. Nie znajdzie takich ludzi. Ci ludzie wprzód muszą uprzątnąć do gruntu styl życia gospodarczego Polski, który się zbudował na uporządkowanej anarchii gospodarczej.

Bez tego — nic świątobliwe projekty płk. Lechnickiego, nic jego marzenia o człowieku pracy w Polsce nie sprawią: w dalszym ciągu będzie to tylko rzeź niewiniątek.

A-Z.

Sprawa wcale nie jest błaha...

Zacznijmy od cytat:

„Statystyka — to budżet rzeczy Państwa. Bez niego nie masz dla Państwa ocalenia" (Napoleon).

„...podkreślić należy, że stan rejestracji ruchu naturalnego ludności w b. zaborze rosyjskim jest już nie tylko nie normalny, ale wręcz niedopuszczalny; sytuacja taka nie może być na dłuższą metę tolerowana i to bynajmniej nie tylko ze względu na interes statystyki, ale również ze względu na wielorakie potrzeby Państwa w innych dziedzinach" (Stefan Szulc, profesor Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, naczelnik wydziału statystyki ludności w Głównym Urzędzie Statystycznym: „Dokładność rejestracji urodzeń i zgonów", Warszawa, 1936. Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego, str. 95 (157).

„W Polsce, stwierdzić to trzeba z największym ubolewaniem, za wyjątkiem stanu rzeczy na obszarze województw zachodnich, rejestracja stanu cywilnego, w pełnym tego pojęcia znaczeniu, właściwie nie istnieje" („Naród i Państwo" Nr. 1 z dnia 3 stycznia 1937 r.).

I rzecz szczególna! W dobie popularyzacji haseł wzmożenia obronności Państwa, w dobie apelów o podźwignięcie Polski wzwyż, stwierdzenia tego rodzaju przebrzmiewać mogą bez echa.

Nieświadomość, czy obojętność?

Jakżeż to wzmóc obronność Państwa, jakżeż podźwignąć Polskę wzwyż, gdy nie rozporządzamy podstawowymi danymi z zakresu statystyki ruchu naturalnego ludności, gdy nie wiemy ściśle, wielu nas jest, na co możemy liczyć, w jakich cyfrach wyraża się przybytek nasz i ubytek, gdy słowem nie posiadamy najelementarniejszych z punktu widzenia obronności wiadomości.

Rzecz, powtarzamy, szczególna i niezrozumiała.

Na przestrzeni dziesiątków lat, żaden, poza „Narodem i Państwem" organ prasowy, żaden, *co dziwniejsza z najbardziej powołanych do tego czynników* nie zainteresował się tą sprawą, nie zabrał w niej głosu, nie wszczął alarmu, nie uderzył w czynów stal!

Od czasu do czasu w kronice wypadków tylko, jako rzecz mniej godną uwagi, notuje prasa codzienna luźne z dziedziny tej spostrzeżenia, w rodzaju ogłoszonych np. ostatnio: *„10.000 dzieci w Wilnie bez metryk"* („Kurier Warszawski" Nr. 73 z dnia 14 marca 1937 r.). Nic więcej. Żadnych komentarzy! Żadnych refleksji na temat przyczyn i następstw tego nieprawdopodobnego zjawiska.

10.000 dzieci bez metryk!

W systemie prawa z XVII stulecia*), a więc prawa, które nie ustanawia zgoła obowiązku zgłaszania urodzin dzieci, a co za tym idzie nie przewiduje w tym względzie ani podmiotów, ani terminów takiego obowiązku, ani odpowiednich siłą rzeczy rygorów prawnych, — wszystko jest możliwe.

Te 10.000 niezarejestrowanych dzieci z jednego m. Wilna uchyli się świadomie, czy nieświadomie od obowiązku powszechnego nauczania, a jeżeli idzie o mężczyzn i od powszechnego obowiązku wojskowego. Te 10.000 niezarejestrowanych dzieci wystarczy w zupełności, by zmącić gruntownie obraz zestawień statystycznych ruchu naturalnego ludności.

A przecież ta cyfra 10.000, to tylko Wilno — stolica województwa, ośrodek kultury, to co więcej, stan rzeczy z przebiegu jednego niespełna kwartału bieżącego roku.

Ileż takich dziesiątków tysięcy niezarejestrowanych wykaże rok kalendarzowy, ileż dadzą pozostałe miasta i miasteczka, osady, wioski i inne odległe, głuche, ciemne osiedla naszych województw wschodnich?

O ileż dziesiątków tysięcy uwielokrotnią cyfrę tę dzieci, które nie będąc przez rodziców ochrzczone w kościołach uznanych, *nie mogą* jako takie być zarejestrowane dla tej prostej przyczyny, że obowiązujące prawo rejestracji stanu cywilnego wszelkiego rodzaju „heretyków", choćby były nimi niemowlęta, wogóle nie przewiduje.

Ileż, dodajmy, dziesiątków tysięcy obywateli roczników wojennych 1914—1920 obywa się bez aktów urodzenia, dlatego że księgi stanu cywilnego uległy zniszczeniu i dotychczas nie zostały, bo w istniejącym stanie prawnym nie mogły być, zrekonstruowane.

Ileż wreszcie tysięcy rodziców, nie mogąc „utargować" przystępnej ceny za sporządzenie aktu urodzenia dzieci, wogóle ze- zgłoszenia tego rezygnuje.

Zestawmy te cyfry, zsumujmy, rozważmy i, jeśli już nie w imię wielorakich a dobrze zrozumiałych potrzeb Państwa w innych dziedzinach, to przynajmniej w imię naczelnego postulatu wzmożenia jego obronności, wyciągnijmy wreszcie właściwe wnioski.

Dość kunktatorstwa! Polska racja stanu domaga się niezwłocznego uporządkowania prawa o aktach stanu cywilnego i organicznie z nim związanego prawa małżeńskiego.

Polska racja stanu domaga się, by w Polsce w dziedzinie stosunków tych panował taki sam co najmniej ład i skład, jak we wszystkich innych bardziej czy mniej cywilizowanych państwach Europy.

Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych ma głos. Podyktowany polską racją stanu niechajże głos ten rozlegnie się, przyczyniając się do przecięcia wszelkich na omawiany temat dyskusji, obaw, zastrzeżeń, wahań, wątpliwości, niech zrodzi czyn: *polskie jednolite prawo o aktach stanu cywilnego — polskie jednolite prawo małżeńskie!*

*) t. IX „Zbioru Praw".

ŻYCIE PROWINCJI

M. W.

Potrzeby życia kulturalnego na Pomorzu

Tempo życia kulturalnego Pomorza nie odpowiada jeszcze ani położeniu geopolitycznemu tej ziemi, ani też roli, jaką powinna odgrywać w Państwie. Opinia ta nie jest zresztą nowością. Słyszymy ją zarówno na Pomorzu, jak i poza nim, zarówno od przeciętnych pracowników i konsumentów kultury, jak i z najbardziej autorytatywnych i decydujących ust. W ostatnim półroczu zabierał w tej sprawie aż dwukrotnie głos sam Minister W. R. i O. P., podkreślając w czasie wizyt w Poznaniu i w Toruniu konieczność wzmożenia i uwielokrotnienia polskiej pracy na ziemiach zachodnich, a szczególnie na Pomorzu.

Dwie są najważniejsze przyczyny, dla których podjęcie szerokich prac kulturalnych na Pomorzu nie może ulec opóźnieniu: napór kultury Rzeszy Niemieckiej i Prus Wschodnich na naszą ziemię oraz konieczność jak najszybszego i jak najmocniejszego zaakcentowania udziału Pomorza w całokształcie pracy kulturalnej ogólnopolskiej. Nieraz już zwracano uwagę na niekorzystne dla naszej ziemi dysproporcje życia kulturalnego u nas i w bezpośrednim sąsiedztwie, za wschodnią i zachodnią granicą Pomorza. Licznym, bogato zaopatrzonym i wysoko postawionym instytucjom kulturalnym w Prusach Wschodnich i na Pomorzu Zachodnim przeciwstawiamy drobne ośrodki polskiej pracy w większych miastach Pomorza, dysponujące nielicznym gronem osób oddanych sprawie i walczące nieustannie z trudnościami materialnymi. O słabej zaś znajomości dorobku kulturalno - narodowego Pomorza, jego pracy obecnej i właściwości regionalnych, wiemy aż nadto dobrze z opacznych i wywołujących nieporozumienia sądów, jakie się ciągle słyszy i czyta w reszcie Polski.

Przyśpieszenie tętna pracy kulturalnej zależy nie tylko od wysiłków społeczeństwa pomorskiego, ale i od zrozumienia i planowej opieki ze strony czynników centralnych.

Pomorze ma swoisty charakter i swoją szlachetną dumę. Jak w czasach niewoli, tak i dziś, pracuje o własnych siłach i samo sobie wystarcza. Lecz ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Pomorze, to przecież najważniejszy kawał polskiej ziemi, niezbędny dla rozwoju Rzeczypospolitej. Dlatego w parze z własnymi wysiłkami tej ziemi musi iść opieka ze strony całego Państwa. W urabianiu takiego nastawienia do spraw pomorskich nie ma i nie może być nic złego. „Nikt przecież w rodzinie nie weźmie za złe, jeżeli tego, od kogo zależy byt rodziny, wesprze się w chwili potrzeby, jeżeli będzie on przed innymi członkami rodziny uprzywilejowany... Gdy chodzi o Pomorze, stałoby się to tak w jego, jak i Rzeczypospolitej potrzebie"*).

Instytucje czuwające nad rozwojem kulturalnym Pomorza skrupulatnie notują i segregują jego potrzeby według ich ważności i pilności. Znamy je wszyscy dobrze choćby z memoriałów, przedstawionych Ministrowi W. R. i O. P. w czasie wspomnianej jego jesiennej wizyty w stolicy Pomorza. W memoriałach tych była mowa o powrocie Kuratorium Szkolnego do Torunia, utworzeniu Pedagogium dla kształcenia nauczycieli na wyższym poziomie, rozbudowie szkolnictwa zawodowego, ustanowieniu konserwatora zabytków historycznych, poparciu finansowym Teatru Ziemi Pomorskiej i Konserwatorium Muzycznego w Toruniu i t. d. Słyszeliśmy wtedy także i postulat najcięższego kalibru, przedstawiony Panu Ministrowi w pięknej mowie przez Prezesa Towarzystwa Naukowego w Toruniu: zorganizowanie wszechnicy pomorskiej.

Są to wszystko postulaty ważne i pilne i będą niewątpliwie stopniowo realizowane, w miarę sił i środków. Lecz nam chodzi szczególnie o te odcinki pracy kulturalnej, na których można i należy wzmóc pracę o własnych siłach. Zwróćmy przeto uwagę na kilka zaniedbanych odcinków pracy.

Na proces infiltracji wpływów ościennych najbardziej narażone są pograniczne gminy Pomorza. Wpływają na to i wspomniane już dysproporcje w dzisiejszych możliwościach kulturalnych u nas i poza granicą wschodnią i zachodnią, a obok nich istniejąca na Pomorzu mniejszość niemiecka, która skwapliwie podchwytuje to, co pochodzi z jej kraju macierzystego, i wytwarza przychylną atmosferę około spraw niemieckich. Nie bez znaczenia w tym procesie jest także fakt, iż obszar etnograficzny, kulturalny i gospodarczy ziemi pomorskiej jest daleko większy, niż dzisiejsze granice naszego województwa. Przeważna ilość gmin pomorskich wzdłuż wschodniej i zachodniej granicy została odcięta od właściwych sobie ognisk życia kulturalnego i gospodarczego. (Nibork, Gdańsk, Lembork, Bytów, Człuchów, Złotów). A są to gminy ubogie, nie powiązane komunikacyjnie z większymi ośrodkami województwa, pozbawione przodowników pracy społecznej. Kontakt ze światem ułatwia tu i ówdzie odbiornik radiowy, przy czym — jest to publiczną tajemnicą — nastawia się go na radiostacje niemieckie, bo odbiór rozgłośni polskich jest niemożliwy bądź wobec ich słabej siły nadawczej, bądź wskutek przeszkód ze strony radiostacji niemieckich.

Ośrodkami życia kulturalnego powinny tu być szkoły polskie i to zarówno w pracy wychowawczej młodzieżowej, jak i w dziedzinie oświaty pozaszkolnej. Piętnaście lat temu marzyliśmy o tym, aby to były „szkoły i zewnętrznie wystrojone i w bogate biblioteczki wyposażone i najlepszymi nauczycielami obsadzone, nauczycielami apostołami, niosącymi między dzieci nadmorskiego ludu i między ten lud... umiłowanie polskiej mowy i dobrą nowinę o oświacie, o cnocie i o Polsce"**). Jakiż dramatyczny obraz przedstawiają niektóre szkoły nasze na przygranicznych terenach w zestawieniu z tym wzorem. Przeczytajcie listy, które otrzymuje Rozgłośnia Pomorska lub Polski Związek Zachodni od nauczycieli i dzieci szkolnych, proszących o nadsyłanie podręczników i książek dla dzieci. Zwróćcie uwagę na objawy pozyskiwania dzieci polskich do szkół niemieckich, które czasem, dzięki bogatemu wyposażeniu w pomoce szkolne oraz dzięki dobrze zorganizowanej opiece nad dzieckiem, działają atrakcyjnie na pewien odłam słabo uświadomionej narodowo ludności polskiej. Praca wśród dorosłych w dziedzinie oświaty, higieny, przygotowania gospodarczego również posiada wielkie braki. Na miejscu brak ludzi odpowiednich do pracy, a z zewnątrz mało kto interesuje się potrzebami tych odciętych od świata terenów. W tej sytuacji czynniki obce robią wyłomy w naszym stanie posiadania, bo trudno się dziwić, iż ludność korzysta tam z opieki lekarskiej z drugiej strony granicy, że zachwala sobie pomoc miejscowych pastorów i diakonisek, że czyta prasę niemiecką, zamiast polskiej i t. p.

Objawy takie obserwujemy szczególnie na pograniczu sępoleńsko - chojnickim, w powiecie działdowskim oraz w północnych powiatach Pomorza w gminach graniczących z hitlerowskim dziś Gdańskiem i pograniczem bytowsko - lęborskim. Szczególnie na północy nie są one sporadyczne i przypadkowe, lecz celowo organizowane. Przez tego rodzaju akcję, popartą wyzyskiwaniem odrębności regionalnych kaszubskich, usiłuje się wbić klin między szczerze polskich Kaszubów a resztę społeczeństwa. Jednym z najbardziej widocznych przejawów tej akcji jest „Przyjaciel Ludu Kaszubskiego", pisemko wydawane przez Niemców w Wejherowie w narzeczu kaszubskim.

Postawa społeczeństwa wobec tych wszystkich przejawów jest zbyt mało aktywna, żeby nie użyć wyrażenia zupełnie bierna. Są nawet duże odłamy apatycznej wobec pracy polskiej na Pomorzu inteligencji, która świadomie lub nieświadomie poddaje się wpływom obcym. Mamy tu na myśli panującą na wybrzeżu i w Gdyni modę szukania rozrywki i wypoczynku po pracy w Gdańsku lub Sopotach, nie dlatego aby nieść wpływ kulturalny polski na teren W. M. Gdańska, lecz aby się otrzeć o rzekomo wyższą kulturę niemiecką.

Na tle powyższych objawów należy stwierdzić, że istnieje paląca konieczność wyzyskania wszystkich możliwych sił ludzkich w milionowej masie społeczeństwa pomorskiego dla rozwinięcia choćby drobnych, lecz niesłychanie ważnych i na szerszą skalę prowadzonych prac w dziedzinie wzmagania ruchu kulturalnego na Pomorzu. Od pracy tej nie może się uchylić żaden świadomy naszych celów narodowych na tej ziemi mieszkaniec Pomorza. Inteligencja miejska musi pójść na wieś dla poparcia wysiłków oświatowych nauczycielstwa i duchowieństwa. Takie ośrodki miejskie, jak Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz, Gdynia muszą być ośrodkami promieniowania wartości kulturalnych.

*) Bernard Chrzanowski: „Troska o wybrzeże", Strażnica Zach., nr. 1, r. 1922.

**) Bernard Chrzanowski, j. w.

ZAGADNIENIA

Konieczność kumulacji inicjatywy społecznej

Powszechnym jest w Polsce zjawisko rozproszkowania organizacji społecznych. Rozproszkowanie to jest wynikiem nieskoordynowanej inicjatywy społecznej i pewnego braku w naszej psychice zdolności konstrukcyjnego myślenia i planowania według shierarchizowanych elementów składowych. Stąd, mimo długoletnich narzekań na rozproszkowanie inicjatywy, nie przestajemy i na odcinku stowarzyszeń społecznych, tworzyć coraz to nowych organizacji i ich komórek, zamiast, coby było racjonalniejsze, stosować metody zaspokojenia nowych potrzeb przez objęcie ich zakresem działania już istniejących organizacji. W rezultacie mimo stale stwierdzanego przerostu organizacyjnego, na odcinku pracy społecznej ciągle jeszcze mamy „przyrost naturalny" organizacyj, wynoszący rocznie 6 tysięcy jednostek przy 100 tysiącach stanu w roku 1936.

Dla jednej tylko Warszawy liczba towarzystw dochodzi do 3.150, co wynosi około czterysta mieszkańców na jedną organizację w stolicy.

Mimo tego nadmiaru inicjatywa mieszkańców stołecznego grodu jest niepohamowana. I choć stare towarzystwa zaledwie wegetują, powołujemy prawie do 30 nowopowstających stowarzyszeń miesięcznie. Około 30 mniej więcej obywateli w Warszawie odczuwa co miesiąc potrzebę prezydowania, tyluż pragnie sekretarzować, tyluż zamierza zbierać składki ze współbraci, oczywiście przeważnie przy pomocy nacisku organów państwowych. Nie jest to tylko cechą stolicy. Prowincja objawia nie mniejszą inicjatywę. Tylko w małym miasteczku sytuacja ulega skarykaturowaniu, gdyż tam nie zawsze można znaleźć odpowiednią ilość ludzi wolnych. W rezultacie następuje paradoksalna wprost kumulacja urzędów. Stan ten — stwarzający pozory bujności życia organizacyjnego — w istocie przyczynia się do pogłębiania dezorganizacji, do zaniku rzetelnej pracy społecznej i marazmu ideologicznego.

Ludzie, zajęci sprawami zawodowymi, bądź urzędowymi i obdarzeni nieraz wielokrotnymi funkcjami społecznymi, nie są wstanie pracować planowo. W rezultacie i otoczenie ich, widząc, że tego zatoru nie jest w stanie zmienić, usuwa się od pracy organizacyjnej, przestaje się interesować jej rozwojem, pozostawiając ją wybrańcom, często zresztą zmuszanym do przyjęcia zaszczytnych funkcji wbrew własnej woli i chęci. W rezultacie często nawet najautorytatywniejsze apele nie mogą wzniecać szczerego zapału do pracy w szerszych środowiskach, a te czynniki, do których apele organizacyjnie dochodzą, nie są w stanie naprawdę nic pozytywnego zrobić.

Jak podawała niedawno „Gazeta Polska", taki Płock, liczący 33 tysiące mieszkańców, posiada 140 organizacji społecznych. Lecz stosunek liczby organizacji do liczby mieszkańców nie jest tu bynajmniej specjalnie niekorzystny. W innych miastach przedstawia się on nieraz znacznie słabiej.

Jeżeli się uwzględni, że liczne z tych stowarzyszeń mają małą liczbę członków, inne pochłaniają olbrzymie sumy na aparat administracyjno-organizacyjny, inne znowu rzeczowej pracy nie prowadzą lub zajmują się dublowaniem roboty już istniejącej, to jasną stanie się rzeczą, że na takie marnotrawstwo zarówno energii ludzkiej jak środków pieniężnych pozwolić sobie Polska nie może. Stan ten musi być zmieniony. Lecz liczyć tu na naturalny sposób zmian jest trudno, gdyż trwałoby to lata całe. Lekarstwo na to musi się znaleźć dość radykalne. Musi ono obejmować różne stadia. A więc najpierw wezwanie martwych organizacji do zlikwidowania się, następnie wezwanie organizacji o pokrewnych celach do przeprowadzenia unifikacji, zespolenia rozporządzalnych środków i energii ludzkiej, celem uaktywnienia prowadzonej roboty. Następnym etapem będzie skierowanie energii zunifikowanych stowarzyszeń na te tereny pracy, które dotychczas pozostawiono odłogiem.

Tytułem przykładu warto tutaj zaznaczyć, że w charakterze członków organizacji społecznych dziś występują przeważnie urzędnicy państwowi, samorządowi lub prywatni, gdyż najłatwiej dla wielu stowarzyszeń powstających pod „możnymi wpływami", było zjednanie sobie „dobrowolne" tych członków. Tymczasem energia ludzka, jak i środki pieniężne ludzi wolnych nie związanych z państwem, pozostają prawie nietknięte. Dojście do tych źródeł energii we wszelkiej postaci, powinno być jednym z pierwszych poczynań zunifikowanych stowarzyszeń.

Szczególnie ważnym odcinkiem pracy jest kwestia wychowania młodego pokolenia, zaprawiania go do istotnie zdrowej pracy społecznej. Otóż trzeba sobie wyraźnie uświadomić, że stan, który nas przeraża i na który narzekamy, sami przygotowujemy, i pielęgnujemy pieczołowicie już na terenie szkoły. Jak to podała prasa codzienna w jednym z gimnazjów na 154 uczniów jest 13 organizacji uczniowskich, średnio więc na organizację wypada po 12 osób.

Lecz znowu nie jest to stan wyjątkowy. Taki lub bardzo zbliżony do tego jest stan większości szkół średnich w Polsce. Mało tego. Od tego rozproszkowania wolne nie są i szkoły powszechne: liczba organizacji uczniowskich dochodzi do 20. Jeżeli się uwzględni, że każda taka organizacja ma jeszcze liczne sekcje: teatralne, śpiewacze, literackie, sportowe, kółka samokształceniowe, możemy liczyć średnio około 60 ogniw różnego rodzaju na terenie szkoły. I znowu myliłby się ten, ktoby sądził, że jest to przejaw sprawności organizacyjnej. Przeciwnie. Działanie wychowawcze tych organizacji jest minimalne, młodzież przyzwyczaja się do powierzchowności i do traktowania licznych swych obowiązków jako godności reprezentacyjnych, nie wymagających wysiłku i skrupulatności. W rezultacie już na ławie szkolnej, w szkole powszechnej, częstym zjawiskiem jest fakt prezydowania przez zdolniejszego i bardziej wyrobionego ucznia wielu organizacjom lub wielu kołom. Czy można dziwić się później, że taki młody prezes, w którejś tam potędze, będzie uważał za normalne piastowanie czterech lub pięciu godności w organizacjach społeczeństwa dorosłego. Wszak zdaje on po prostu w ten sposób egzamin z tego, czego go szkoła nauczyła.

Aby przyszłość była lepsza od teraźniejszości, aby nasi wychowańcy lepiej egzaminu życiowy zdawali, trzeba co rychlej zabrać się przede wszystkim do uporządkowania szkolnego odcinka pracy. Odcinek ten jest nader ważny z perspektywy przyszłości. Równocześnie daje się on racjonalnie ująć w pewien plan zależny od dyspozycji idących z góry. Potrzeba trochę planowej woli i odwagi decyzji, aby omawiane tu sprawy skierować na drogę racjonalnego przygotowania młodzieży do życia. Tylko, broń Boże nie można tego realizować okólnikiem, tak jak okólnikiem nie można skutecznie ograniczyć biurokracji.

Musi to wiązać się z jakimś racjonalnym planem wychowawczym, należycie sharmonizowanym z tymi potrzebami życia, które niesie nam wyrastająca nowa rzeczywistość.

Marian Jawiński.

Tydzień Polskiego Związku Zachodniego

30. III. — 6. IV. 1937

Komitet Wykonawczy Tygodnia Polskiego Związku Zachodniego wydał następującą odezwę:

OBYWATELE!

Dorocznym zwyczajem, w dniach od 30 marca do 6 kwietnia r. b. odbędzie się na terenie całej Rzeczypospolitej „Tydzień Polskiego Związku Zachodniego".

W zakresie propagandowym „Tydzień" tegoroczny poświęcony będzie sprawom Pomorza. Pomorze — to najdroższy sercu polskiemu, odwiecznie polski i węzłem najszczerszych uczuć z całością Polski związany płat naszej ziemi. Pomorze — to płuca Polski, gwarancja mocarstwowego stanowiska Rzeczypospolitej. Gruntowna znajomość spraw Pomorza jest obowiązkiem każdego Polaka.

W zakresie zbiórkowym w dniach tych przeprowadzona będzie na terenie całego Państwa zbiórka na cele statutowe Polskiego Związku Zachodniego, na cele planowego i wszechstronnego rozwoju sił polskich na zachodzie.

Do udziału we wszystkich akcjach „Tygodnia", do składania ofiar na rzecz pracy polskiej na zachodzie, wzywamy całe społeczeństwo polskie. Hasłem naszym niech będzie: „Siła nasza w jednolitości działań naszych!". Jednolitości tej w odniesieniu do sprawy Pomorza umiejmy dać dowód żywością naszych zainteresowań, powszechnością drobnych czynów ofiarnych.

Niech nikt w Polsce dla sprawy tej obojętny nie będzie!

**KOMITET WYKONAWCZY
TYGODNIA POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO.**

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Pakt Adriatycki

(z. d.) W stosunkach politycznych między Włochami i Jugosławią zachodzi nagła i doniosła zmiana. Po kilkunastu latach wzajemnej nieufności i nieporozumień, po kilkunastu latach wydarzeń, zdających się prowadzić do wojny, jako jedynego możliwego rozwiązania — podpisany został w Białogrodzie pakt nieagresji i przyjaźni.

Pakt białogrodzki, podpisany 25 marca przez ministrów Stojadinowića i Ciano, zawiera postanowienia następujące: 1) Utrzymanie *status quo* wspólnych granic Jugosławii i Włoch, oraz ich granic morskich na Adriatyku, 2) Obowiązek zachowania w stosunku do drugiego kontrahenta przychylnej neutralności na wypadek gdyby uległ on napaści niesprowokowanej, 3) Obowiązek konsultacji i współdziałania w razie komplikacji międzynarodowych i w razie, gdyby obaj kontrahenci doszli do wniosku, że ich wspólne interesy są, albo mogą być zagrożone, 4) Potwierdzenie chęci nie uciekania się do wojny jako środka polityki narodowej w stosunkach między kontrahentami oraz chęci załatwiania ewentualnych sporów i konfliktów środkami pokojowymi, 5) Zobowiązanie nie tolerowania u siebie żadnej działalności, która by się kierowała przeciwko nienaruszalności terytorialnej i porządkowi istniejącemu u drugiego z kontrahentów, 6) Stwierdzenie, że pakt ten nie może być uważany za stojący w czymkolwiek w sprzeczności ze zobowiązaniami międzynarodowymi i ze zobowiązaniami w stosunku do poszczególnych państw, jakie posiadają obaj kontrahenci, 7) Pakt zawarty zostaje na okres pięcioletni. O ile któraś ze stron nie wymówi go na pół roku przed upływem terminu jego ważności, przedłuża się automatycznie na rok.

Artykuł wstępny paktu białogrodzkiego stwierdza, że dążeniem obu państw jest postawienie ich wzajemnych stosunków na nowej podstawie. W istocie, dotychczasowa podstawa, na jakiej opierały się stosunki między Włochami a południowymi Słowianami, nie nadawała się dla nawiązania przyjaźni. Przed wielką wojną łączyła do pewnego stopnia na płaszczyźnie międzynarodowo - politycznej Włochy i Serbię wspólna wrogość w stosunku do Austro - Węgier. Oba państwa wyczekiwały tylko chwili, aby oderwać się od Imperium habsburskiego pożądane przez siebie szmaty ziemi. Ale krył się w tym zarodek nieuniknionego konfliktu po ewentualnym zwycięstwie nad wspólnym wrogiem, Austro - Węgrami. Zarówno bowiem Włochy, jak i Serbia, pragnęły posiąść Chorwację i Dalmację. Dla Serbii pragnienie to wynikało z potrzeby uzyskania dostępu do morza i z chęci zjednoczenia w jednym państwie wszystkich Słowian południowych. Dla Włoch zdobycie wschodnich wybrzeży Adriatyku oznaczałoby zamienie go w italskie Mare Nostro. Pod naporem pragnień tych Włochy i Serbia znalazły się podczas Wielkiej Wojny w jednym obozie. Serbia wciągnięta została do wojny przez wir polityki międzynarodowej, która prowadziła Europę w roku 1914 prostą drogą do zbrojnego rozwiązania problemów światowych. Włochy przystąpiły do obozu sprzymierzonych po długich targach, prowadzonych równocześnie ze sprzymierzonymi i z państwami centralnymi. Pytanie: „kto da więcej?!" było kryterium włoskim. Otóż więcej obiecali dać sprzymierzeni, Francja, Anglia i Rosja. Włochy wypowiedziały więc wojnę państwom centralnym.

Warunki, na mocy których Włochy przystąpiły do wojny po stronie sprzymierzonych, zawarte zostały w tajnym traktacie, spisanym w Londynie 26 kwietnia 1915 r. W traktacie tym Anglia, Francja i Rosja („protektorka wszystkich Słowian"!) obiecywały Włochom w razie zwycięstwa następujące terytoria, zamieszkałe przez Chorwatów i Słoweńców: hrabstwa Gorycję i Gradiskę, terytorium Istrii, Dalmację, Valonę i wyspy u wschodniego wybrzeża Adriatyku. Traktat ten spisany był w tajemnicy przed Serbią i Czarnogórą. Dawał on Włochom terytoria, o które właśnie obaj ci słowiańscy sprzymierzeni walczyli, był więc dokumentem dyskredytującym wielkie mocarstwa. Gdy traktat ten wyszedł w roku 1917 na jaw, wywołał na Słowaczyźnie i w szeregach serbskich powszechne oburzenie. Broniąc udziału swojego w zawieraniu traktatu londyńskiego, premier brytyjski Asquith tłumaczył na zebraniu w Paisley 2 lutego 1920, że „w czasie, gdy się zawierało traktat z Włochami, Francuzi i my walczyliśmy o śmierć i życie na froncie zachodnim... Traktat włoski, za który nie tylko my, ale Francja i Rosja zarówno są odpowiedzialne, przedstawiał warunki, na mocy których Włochy gotowe były przyłączyć swoje siły...". Z drugiej strony, gdy bolszewicy, ujawniając archiwum carskiego ministerstwa spraw zagranicznych, ogłosili tekst traktatu londyńskiego, stał się on w rękach państw centralnych argumentem, przy pomocy którego szerzyły one wśród ludności południowo - słowiańskiej nienawiść do mocarstw sprzymierzonych. Istotnie traktat londyński wywołał na Bałkanach wielkie rozgoryczenie i był jednym z powodów, dla których Bułgaria zdecydowała się przystąpić do wojny po stronie państw centralnych. Na konferencji pokojowej, która odbywała się pod hasłem „samostanowienia ludów o sobie" — hasłem narzuconym mocarstwom sprzymierzonym przez Prezydenta Wilsona, traktat londyński stanowił ciężki orzech do zgryzienia. Włochy dopominały się zapłaty — Słowianie wolności.

Powstałe po zakończeniu Wielkiej Wojny państwo jugosłowiańskie obciążone zostało wspomnieniami, budzącymi bodaj jednakowo niechęć do Włoch, do Francji i Anglii. Bieg wydarzeń politycznych bezpośrednio po wojnie naprężył stosunki Jugosławii z Włochami. Jednak zarówno Jugosławia, jak i Włochy nie zaniedbywały żadnej sposobności, aby postawić wzajemne stosunki polityczne na płaszczyźnie przyjaźni. 27 stycznia 1924, z okazji wizyty jugosłowiańskiego ministra spraw zagranicznych Paszića, podpisano w Rzymie „pakt przyjaźni"; latem tego samego roku zawarto w Notturno konwencję, mocą której Włosi, zamieszkujący niektóre z miast dalmatyjskich, otrzymali wielkie przywileje gospodarcze i kulturalne. Przewrót wewnętrzny w Jugosławii spowodował, że konwencja nettuńska nie została ratyfikowana przez Skupczynę, a co więcej w Jugosławii wzięły górę tendencje Włochom niechętne. W ten sposób nić powstającej przyjaźni została przerwana. Wprawdzie Nieszcić próbował w roku 1926 skorzystać z dobrych usług Francji i drogą koordynacji zawieranego paktu jugosłowiańsko - francuskiego z włosko-jugosłowiańskim chciał ugruntować na nowo przyjaźń włosko - jugosłowiańską. Ale Włochy wątpiły zarówno w szczerość Jugosławii, jak i Francji, bały się „otoczenia". Oficjalny włoski punkt widzenia wyrażał się w przekonaniu, że w praktyce pakt jugosłowiańsko-francuski będzie wprawdzie traktowany w Paryżu jako instrument pokoju, ale za to w Białogrodzie jako instrument wojny.

Rzeczywistość wykazała jednak, że Włosi się mylili. Pakt jugosłowiańsko-francuski traktowany był w Białogrodzie jako instrument pokoju. Gdy więc w styczniu 1935 Laval bawił w Rzymie i kładł fundamenty pod budowę trwałego porozumienia między Francją i Włochami, w Białogrodzie witano to jako zapowiedź nowej poprawy stosunków między Włochami i Jugosławią. Wprawdzie po tym przyszły sankcje i wybory francuskie z maja 1936, które przeciwstawiły faszystowskim Włochom Francję ulegającą Anglii i co gorsze, Francję frontu ludowego, czyli, w rozumieniu Mussoliniego, Francję kominternowską. Ale w tym samym czasie odbywał się proces konsolidacji państw bałkańskich w ramach Porozumienia Bałkańskiego, co sprawiło, że ścisła łączność z Francją przestawała być dla Jugosławii palącą koniecznością. Wreszcie 24 stycznia b. r. Jugosławia zawarła z nienależącą do porozumienia Bałkańskiego Bułgarią „pakt wieczystej przyjaźni". Jugosławia poczuła się pewna siebie, a we Włoszech nabrano przekonania, że polityka jugosłowiańska nie może być uważana za funkcję polityki francuskiej; tym samym wytworzyły się dane dla harmonijnej współpracy sąsiedzkiej nad Adriatykiem.

Problem włosko - jugosłowiański jest przede wszystkim problemem adriatyckim. Dwa państwa posiadają brzegi zamkniętego morza. Zrozumiałe więc jest, że kiedy jedno z nich — Włochy — jest militarnie znacznie silniejsze, to będzie ono dążyło do całkowitego, strategicznego opanowania morza. Hegemonia taka jest zaś do zniesienia dla drugiego z państw — Jugosławii — jedynie w wypadku, kiedy między sąsiadami panuje trwała przyjaźń. Posiadanie wybrzeży zachodniego i północnego, kilku wysp na wybrzeżu wschodnim i wpływy, jakie Włochy posiadają w Albanii, dają im na Adriatyku niezaprzeczoną hegemonię. Jugosławia mogła się do tego ustosunkować dwojako: albo chcieć przy pomocy Francji złamać adriatycką pozycję Włoch, albo też się z nią pogodzić. Włochy mogły znów chcieć pozycję swą na Adriatyku rozszerzyć z bronią w ręku kosztem Jugosławii, albo też wzmocnić tylko, nawiązując przyjazne stosunki z adriatyckim partnerem. Ponieważ ani Francja, ani Włochy, ani Jugosławia nie życzyły i nie życzą sobie wojny — więc też i ustaliła się na Adriatyku przyjaźń.

Nowy wyścig zbrojeń

(z. d.) Decyzja Anglii zwiększenia swych sił zbrojnych, a szczególnie sił morskich, wywołała niepokój w Japonii. Za kilka lat Anglia będzie rozporządzać na Dalekim Wschodzie siłami morskimi o tyle zwiększonymi, że Japonia nie będzie mogła, jak dotychczas, decydować o biegu wydarzeń międzynarodowych dalekowschodnich.

Japonia, pragnąc nie dać się wyprzedzić Anglii, postanowiła również ze swej strony zwiększyć siły zbrojne na morzu. Pierwszym tego przejawem jest decyzja admiralicji japońskiej zaopatrzenia nowych pancerników w działa 16 calowe (40,6 cm). Decyzja ta wymierzona jest bezpośrednio w Anglię i Stany Zjednoczone. Ulegają one bowiem przepisom konwencji londyńskiej z roku 1936, w której Anglia, Stany Zjednoczone i Francja zobowiązały się nie montować na swych pancernikach, budowanych poczynając od dnia spisania umowy, dział o kalibrze większym nad 14 cali (35,6 cm).

Decyzja Japonii budowania nowych pancerników z działami 16 calowymi wywołała w Anglii dużą konsternację. Nie chcąc łamać umowy londyńskiej, do której mają niebawem przystąpić, a tym samym wzmocnić ją Włochy, Anglia musiałaby pozostać przy działach 14 calowych; taki też kaliber przewidują plany pancerników, które dopiero co zostały oddane do budowy w stoczniach angielskich. Względy wojskowe i prestiżowe nie pozwalają jednak na jakąkolwiekbądź niższość floty angielskiej. Wprawdzie pancerniki Rodeny i Nelson posiadają działa 16 calowe, ale są to okręty, budowane w roku 1925. Wobec nowych okrętów japońskich, jakie wejdą w służbę za kilka lat, oba te dreadnougty będą przestarzałe. Z chwilą więc, jak nadeszły wiadomości z Tokio, że Japonia zaopatrzy swe nowe pancerniki w działa 16 calowe, skierowano z Londynu do Tokio usilne perswazje, aby nakłonić Japonię do odstąpienia od tej decyzji. Jednak 27 marca ambasador brytyjski w Tokio otrzymał od tamtejszego ministerstwa spraw zagranicznych negatywną odpowiedź na demarche angielską. Rząd japoński twierdzi, że jeśli nie przystąpił do konwencji londyńskiej, to teraz nie ma żadnego powodu poddać się zawartym w niej warunkom.

Decyzja japońska stwarza niebezpieczeństwo nowego wyścigu zbrojeń morskich; za kalibrem dział może pójść tonaż pancerników i t. d. Jak twierdzą w Tokio, propozycje brytyjskie, aby Japonia ograniczyła się do dział 14 calowych, postawione „z pełną znajomością stanowiska japońskiego w tej kwestji, należy traktować jako manewr dyplomatyczny, składający na Japonię ciężar odpowiedzialności za światowe współzawodnictwo zbrojeń morskich". Tak, czy inaczej — współzawodnictwo to wyda w rezultacie kilka nadprogramowych mastodontów morskich, strzelających pociskami o średnicy 40 centymetrów. Czy jednak Japonia stanie się przez to p r o p o r c j o n a l n i e silniejszą nie jest pewne, a raczej jest wątpliwe. Jak to już podkreślono w Anglii, każden wyścig zbrojeń Anglia, a tym bardziej Stany Zjednoczone, wygrają dzięki swej przewadze gospodarczej.

Danie przez Japonię nowego impulsu do wyścigu zbrojeń morskich jest przykrą niespodzianką dla Niemiec. Japonia może projektować zwiększenie zbrojeń morskich, dzięki posiadanym przez nią jeszcze marginesom gospodarczym. Ale Niemcy marginesów tych nie posiadają. W swej obecnej sytuacji gospodarczej Niemcy będą mogły prawdopodobnie przyglądać się tylko, jak Anglia, a za nią i inne państwa rozbudowują swą flotę. W ten sposób proporcjonalnie siły Niemiec na morzu będą maleć z roku na rok. Stąd niekorzystne dla Niemiec znaczenie decyzji japońskiej przystąpienia do wyścigu zbrojeń morskich.

Polska daleka jest od tego, aby mogła uczestniczyć w jakimkolwiek bądź w y ś c i g u zbrojeń morskich. Zadaniem naszym jest osiągnąć konieczne dla obrony wybrzeża i handlu bałtyckiego m i n i m u m. Ale rozgrywający się wyścig powinien w każdym razie p r z y s p i e s z y ć nasze realizacje morskie.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Stara i nowa droga do Indyj *)

(s) Na samym początku, dla uniknięcia nieporozumień, należy się jedno wyjaśnienie. Mówiąc dzisiaj o rozróżnieniu pomiędzy starą a nową drogą do Indyj, bynajmniej za pierwszą nie uważa się drogi wiodącej wokół Afryki, jakkolwiek używali jej jako pierwsi podobno już Fenicjanie, miano nowej przydając Kanałowi Sueskiemu. Wręcz przeciwnie. Kanał Sueski od kilku wieków stał się jedyną drogą do Indyj. Dopiero trzeba było wydarzeń ostatnich, aby przypomnieć sobie o dawnej drodze, przechodzącej obok Przylądka Dobrej Nadziei, drodze, która — być może — już w niedalekiej przyszłości będzie odgrywać niepoślednią rolę tak polityczną jak i gospodarczą.

Przyjrzyjmy się historii. Kiedy Bartłomiej Diaz, a po nim Vasco de Gama, przedostali się przez Przylądek Burz (nazwany przez drugiego Przylądkiem Dobrej Nadziei), przyczyną ich wypraw z pewnością nie była zwykła tylko ciekawość odkrywców. Torowali drogę do bogactwa, a z nim i do potęgi państw, na zlecenie których wyprawę przedsięwzięli. W traktacie paryskim 1763 r. Francja zrzekła się kolonii, a z nimi cesarstwa Indyj i drogi do nich wiodącej. Odtąd Anglia stała się pierwszą potęgą na świecie. Bezskutecznymi okazały się usiłowania Napoleona, rozumiejącego, gdzie tkwią zasadnicze podstawy potęgi Imperium Brytyjskiego. Wyprawa do Egiptu nie pozostawiła po sobie trwalszych śladów.

Rok 1869 jest w dziejach Kanału Sueskiego przełomowym. Mimo rozpaczliwej kontrakcji Anglii Kanał Sueski został otwarty dla okrętów wszystkich bander. Anglii nie pozostawało nic innego, jak zapewnić sobie jak najdalej idącą kontrolę nad kanałem, co zrealizował w kilka lat potem Disraeli. Od tego momentu kanał, leżący u zetknięcia się trzech kontynentów, uzyskał centralną rolę w życiu świata. Można bez przesady powiedzieć, że nie było żadnej fluktuacji gospodarczej na skalę światową, która by nie była mogła być zarejestrowana przez administrację kanału.

Dopiero wypadki ostatnich lat dwudziestu kazały pomyśleć o innych drogach na wschód. Było ich trzy: wojna światowa, kryzys ekonomiczny 1929 roku, kiedy niejednokrotnie wysokie opłaty pobierane przez administrację kanału okazywały się dostateczną podnietą dla okrętów płynących z Australii i Indyj, aby przedsiębrać podróż dawnym szlakiem Diaza i Vasco de Gama, oraz rok 1935 — wojna abisyńska. Napięcie stosunków włosko - angielskich unaoczniło państwom zainteresowanym możliwość zbrojnego konfliktu na Morzu Śródziemnym wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami, z których jedną z najpoważniejszych byłoby zamknięcie Kanału Sueskiego.

Anglia stanęła wobec możliwości odcięcia jej drogi do Indyj. Nie chcąc dopuścić do tej ewentualności, przedsięwzięła szereg środków zaradczych. Z jednej strony prowadzi konsekwentną politykę nad zapewnieniem sobie drogi z Aleksandrii poprzez Transjordanię, Iran i Irak. Z drugiej wzmacnia swoje pozycje na Morzu Śródziemnym. Ponieważ Gibraltar i Malta zostały uznane za niewystarczające dla obrony interesów imperialnych, powstaje nowy ośrodek wojenny na Cyprze. Oparcie znajdzie on w trzech bazach: Kaifie, Aleksandrii oraz Ergasteli, małej, również ufortyfikowanej wysepce, oddanej przez rząd ateński do dyspozycji admiralicji angielskiej. Wreszcie pomiędzy Kaifą oraz małym portem Akabą na zachodnim wybrzeżu Morza Czerwonego, na północ od wejścia do Kanału Sueskiego, planuje się zainstalowanie całego systemu komunikacyjnego, przebiegającego równolegle do kanału, który by kompensował ewentualne zamknięcie drogi wodnej.

Niezależnie od tych przygotowań specjalną uwagę poświęca się drodze wiodącej wokoło Przylądka Dobrej Nadziei, jako najmniej narażonej na niebezpieczeństwo w wypadku konfliktu śródziemnomorskiego. Na samym Przylądku Dobrej Nadziei przystąpi się w najbliższej przyszłości do budowy wielkiej bazy morskiej, na miarę Singapour, ostoi potęgi brytyjskiej na Oceanie Indyjskim i Spokojnym. Podobne ośrodki mają powstać w Sierra - Leone, mniej więcej w połowie drogi między Gibraltarem a Przylądkiem Dobrej Nadziei, oraz w Mombazie, na wschodnim brzegu Afryki.

Wszystkie te poczynania — rzecz zrozumiała — nie mogą pozostawać poza orbitą zainteresowań Francji, tym bardziej, że posiadanie znacznych kolonij w Afryce, a w szczególności takich punktów jak Abidian i Pointe-Noire na zachodzie kontynentu afrykańskiego oraz Madagaskar na wschodzie, oddaje ową „nową" przyszłościową drogę do Indyj pod jej całkowitą kontrolę.

*) Zagadnieniu temu zostało poświęcone jedno z ostatnich posiedzeń Towarzystwa Ekonomicznego w Paryżu. L'Economiste Français.

O NAS U OBCYCH

Antypolska kampania mniejszościowa

Prasa niemiecka, która od szeregu dni prowadzi (zorganizowany atak przeciwko Polsce, zaostrza systematycznie swe wystąpienia, poświęcone — jak wiadomo — głównie sprawom związanym z upłynięciem w roku bieżącym Konwencji Genewskiej — sprawie traktowania mniejszości narodowych w Niemczech i w Polsce.

Deutsche Diplomatische - Politische Korrespondenz omawia sprawy powyższe w dłuższym artykule, pisząc m. in. co następuje: „Jeżeli chodzi o Polskę i Niemcy, to losy sprawiły, że granice etnograficzne nie pokrywają się z granicami państwowymi i że wchodzą one głęboko w teren po jednej i drugiej stronie. Taki stan rzeczy jest faktem, który musi być brany realnie. Tak samo zrozumiałe jest, że w podobnej sytuacji, w interesie obu stron leży liczenie się z żyjącą we własnych granicach państwowych obcą ludnością. Że ofiary tego rodzaju muszą obie strony ponosić ze względu na nadrzędne interesy obu narodów, wynika jasno z zawartego paktu polsko - niemieckiego".

Frankfurter Zeitung (nr. 150—151 z 23.3) sądzi, że upłynięcie ważności Konwencji Genewskiej odczują obie strony: niemiecka i polska. „Jakkolwiek w ciągu lat po jednej i po drugiej stronie granicy uczyniono wiele, by złagodzić zgubne skutki pociągnięcia granic przez jednolity, żywy organizm, mimo to pozostanie faktem, że w danym wypadku niesprawiedliwie podzielono obszar, który w ciągu stuleci zrósł się w zwarty organizm, a który obecnie rozdzielony jest szlabanem granicznym. Dochodzi do tego jeszcze okoliczność, że po stronie polskiej mieszkają jeszcze dziś liczni Niemcy, ciężko walczący o utrzymanie swej narodowości, nie znajdując należytego uznania dla swych słusznych praw u czynników rządzących. Jakkolwiek ukształtowałaby się przyszłość, należy spodziewać się, że duch przyjaźni polsko-niemieckiej pozwoli znaleźć rozwiązanie, które zapewni Niemcom na Górnym Śląsku utrzymanie ich właściwości narodowych i potrzebnych im podstaw gospodarczych".

Völkischer Beobachter (nr. 83 z 21.3) daje swoim wywodom charakterystyczny nagłówek: „My nie germanizujemy". Na wstępie stwierdza się, że granice narodowościowe nie pokrywają się w Europie z granicami państw, zwłaszcza w Europie wschodniej i południowo - wschodniej, zazębiając się tam wzajemnie. Niemcy narodowo - socjalistyczne uczyniły ze swej strony wszystko dla znormalizowania stosunków narodowościowych. Niemcy uznały zasadę narodowościową na podstawie światopoglądu, który widzi w narodowości najwyższą wartość i odrzuca wszelkie wynaradawianie obcych grup narodowościowych. W myśl tej zasady niemiecki reżim narodowo - socjalistyczny reguluje swój stosunek do swych mniejszości narodowych. W zakończeniu swoich wywodów „Volkischer Beobachter" apeluje pod adresem Polski, ażeby ona również respektowała prawa życiowe i odrębności narodowe mniejszości niemieckiej, żyjącej w polskich granicach państwowych.

PRZEGLĄD PRASY

Mobilizacja sił gospodarczych

Polska Zbrojna (nr. 85 z 26.3) podnosi w cyklu artykułów, poświęconych zagadnieniu mobilizacji sił gospodarczych, sprawę należytego przygotowania siły gospodarczej państwa na wypadek wojny.

„Przygotowanie do wojny — w nowoczesnym pojęciu — to przygotowanie takiego potencjału gospodarczego, który zapewni państwu stały przyrost sił i środków, niezbędnych do wojny. Nie zapasy mob., nie ilości środków walki, lecz siła wytwórcza przemysłu i rolnictwa, które potrafią zaspokajać potężne zapotrzebowania wojenne kraju i frontu — oto cel dzisiejszego wyścigu zbrojeń."

Państwo, które w czasie pokoju nie potrafi wdrożyć swego organizmu gospodarczego w ramy jednolitego planu, łączącego integralnie okres przygotowań wojennych i samą wojnę — w chwili zagrożenia będzie bezbronne.

„Chcąc rzetelnie zapewnić państwu bezpieczeństwo, trzeba zdecydować się na permanentną mobilizację jego sił gospodarczych, decydujących o obronności kraju. Trzeba również zdecydować się na wprowadzenie pewnego rodzaju stanu wyjątkowego, aby wszelkie racje prywatnych interesów i konsumcji były podporządkowane głównemu celowi — gospodarczej obronie państwa."

Które Niemcy?

W związku z wydaną niedawno książką Lichtenbegera p. t. „L'Allemagne nouvelle" K. H. Rostworowski zastanawia się na łamach *Kuriera Poznańskiego* (nr. 142 z 28.3), czy istotnie Niemcy dzisiejsze są „nowymi" Niemcami czy też jest inaczej. Rostworowski dochodzi do przekonania, że dzisiejsze Niemcy niczym nie różnią się od Niemiec cesarskich i że „nowymi" Niemcami były raczej Niemcy Weimaru, Niemcy uderzone pałką w łeb

„Kto znał Niemców, ich patriotyzm, tężyznę, pracowitość, subordynację, trzeźwość, skłonną w razie potrzeby do wybuchów, wreszcie ich głęboko zakorzeniony kompleks wyższości, ten zrozumie, że Niemcy przed hitleryzmem były naprawdę nowymi, gdyż zdezorientowanymi Niemcami. Natomiast po hitleryzmie stały się Niemcami starej daty, pomimo dezorientującej nas swastyki. Ich Notung, ich święty miecz, ukuty z wysoko uspołecznionego nacjonalizmu, został złamany. Jedni kowale chcieli go zastąpić młotem, drudzy dyplomatycznym wytrychem, tymczasem chodziło tylko o Zygfryda, który by go po prostu skuł na nowo. Uczynił to Hitler, tworząc National. - Sozialismus, w którym socjalizm, starannie oczyszczony z marksizmu, nosi perukę i gra na flecie w Sans-Souci. Jak stare wino, przelane do nowej beczki, nie przestaje być starym winem, tak samo stary, niemiecki duch, ujęty w nową formę (formalnego) National - socjalizmu, nie przestał być starym National-imperializmem, którego ostatecznym celem był, jest i będzie Drang nach Osten".

K. H. Rostworowski przypomina przy okazji, jak to w swoim czasie przeciętny Niemiec ustosunkowywał się spraw polskich.

„Na ten temat nie było można się dogadać z najkulturalniejszym i najbardziej liberalnym Niemcem. I to nie dlatego, żeby miał uprzedzenie do Polaków. Nie. On uważał nas po prostu za naród, verzeihen Sie, nie wyrobiony, niedorozwinięty, który zwraca się przeciw swojemu dobroczyńcy. Bo któż wprowadził ład i dobrobyt? Któż otworzył przed Polakami skarbnicę pierwszorzędnej nauki i sztuki? Gdzież mają wspanialsze uniwersytety, laboratoria, biblioteki, muzea, teatry, koncerty? A czyż język niemiecki nie jest potrzebniejszy niż polski? Bez niego właśnie ani rusz! Polscy uczeni najlepiej o tym wiedzą Więc o cóż chodzi? O niepodległość?"

Wolność — mówił dalej taki Niemiec — jest przecież w obecnych warunkach czymś zgoła nierealnym, a poza tym...:

„Tutaj sypały się wywody, dotyczące naszych narodowych wad: przerost indywidualizmu, słowiańska nieproduktywność, słomiany ogień, lekkomyślność, lenistwo, kłótliwość, jednym słowem to wszystko, co składa się na osławioną polską gospodarkę i co, w razie odzyskania niepodległości, ponownie zmusiłoby sąsiadów do czynnej interwencji. A który z nich okazał się najlepszym pedagogiem? Barbarzyńska Rosja? Słaba Austria? Wystarczy rzucić okiem na Russisch Polen, na Galicję... Czyż można porównać z Provinz Posen? — Ale kolonizacja? Germanizacja? — Verzeihen Sie, na upór jedyną radą: silna ręka. Boć chyba jest wyższym wejście w skład narodu, który, czy wcześniej, czy później, przekona Europę, że tylko Pax Germanica położy kres jej samobójczym antagonizmom i uchroni ją przed zalewem wschodniego barbarzyństwa".

Tak myślały o Polsce i Polakach wczorajsze Niemcy. A Niemcy dzisiejsze?

Pojętni morżowcy i niepojętni endecy

Dziennik Bydgoski (nr. 70 z 26.3), jeden z czołowych organów t. zw. frontu Morges, przy analizie bieżącej sytuacji politycznej w kraju podkreśla, że jednym z niesympatycznych rysów Stronnictwa Narodowego, rysów, które znamionują politykę endecką nie od dziś, jest sprzeczne z pojęciem demokracji dążenie do wprowadzenia w Polsce dyktatury pewnych warstw nad resztą narodu. Taką dyktaturę w miniaturze reprezentuje też sama struktura organizacyjna Stronnictwa Narodowego, gdzie „wielki wódz i mali wodzowie stanowią o wszystkim bez pytania się członków o ich zdanie".

Tymczasem — powiada „Dziennik Bydgoski" — ludzie się uczą. Sanacja np. odnalazła naród, który gdzieś zagubiła, gdy na ołtarzu ustawiała swoje bożyszcze: państwo.

„Stronnictwo Narodowe — w przeciwieństwie do sanacji — niczego się nie nauczyło. Jak stało, tak stoi na stanowisku wyłączności. Gdy — niestety — przegrało wybory w Łodzi, miało pretensje do wszystkich, tylko nie do siebie. A gdy głosiliśmy potrzebę zespolenia sił narodowych, wtedy „Warszawski Dziennik Narodowy", główny organ Stronnictwa, napisał z rozbrajającą szczerością: chcecie konsolidacji, wstąpcie do nas. Porzućcie swoje sztandary i stańcie pod naszym, zaprzyjcie się swoich ideałów i uznajcie nasze za swoje"

Takie stanowisko endecji — zdaniem „Dz. B." — unicestwiło całkowicie myśl o wielkiej konsolidacji, podjętej przez Hallera, Paderewskiego, Korfantego i Witosa. Do myśli tej negatywnie ustosunkowało się jeszcze Stronnictwo Ludowe; wierne za to „frontowi Morges" pozostały: Narodowa Partia Robotnicza, Chrześcijańska Demokracja i Związek Hallerczyków(!).

„Gdyby przed rokiem — pisze dalej „Dziennik Bydgoski" — było nastąpiło porozumienie, o jakim wyżej wymienieni mężowie marzyli i które w kraju miało wielu zwolenników we wszystkich partiach, hołdujących zasadom chrześcijańskim i narodowym, to ciekawiśmy, coby dziś poczęli twórcy Obozu Zjednoczenia Narodowego. Z istniejącym już silnym frontem narodowym byliby się musieli liczyć, gdyż nie ulega wątpliwości, że byłby reprezentował potężną i nie dającą się zlekceważyć siłę."

Ta swoista „Schadenfreude" organu morżowego wobec „nieprzewidującej" polityki endeckiej uwydatnia się wyraźnie w zakończeniu cytowanego przez nas wyżej artykułu „Dziennika Bydgoskiego":

„Jak z tego widzimy, jedni się uczą, drudzy uczyć się nie chcą. Oby się to nie zemściło na tych, którzy uporem i zarozumiałością przeszkodzili wielkim i owocnym posunięciom!"

Trzecia Rzesza i Watykan

Walka Trzeciej Rzeszy z Watykanem zdaje się wchodzić w stadium decydujące. Jak stwierdza *Kurier Polski* (nr. 86 z 27.3),

„istotny motyw walki, wypowiedzianej katolicyzmowi, dawniej przez Bismarcka, a obecnie przez Hitlera, jest polityczny i polega na dążeniu do przełamania świetnej organizacji kościoła katolickiego, która, jeżeli obecnie nie odgrywa roli politycznej, to przy sprzyjających okolicznościach mogłaby ją odegrać."

Napozór zdawało się, że Trzecia Rzesza obejdzie się bez walki z Watykanem, zawierając z nim, w parę miesięcy po objęciu władzy przez Hitlera, konkordat. Zadowolona z tego była przede wszystkim Stolica Apostolska, budująca na podstawie konkordatu złote mosty zgody, nie sprzeciwiając się wcale rozwiązaniu Centrum, które od czasów Windhorsta i Bismarcka było potężną bronią polityczną w rękach kościoła katolickiego w Niemczech.

Tymczasem okazało się, że

„watykańska dyplomacja nie orientowała się dość jasno ani w celach dążeń hitleryzmu, ani w metodach jego akcji."

Jeżeli chodzi o *cele*, to

„stosunek hitleryzmu do katolicyzmu musi być z natury rzeczy całkiem inny, niż faszyzm. Katolicyzm nie tylko nie jest przeszkodą dla zjednoczenia duchowego Włoch, lecz jest i był zawsze doskonałym środkiem dla szerzenia włoskich wpływów kulturalnych na całym świecie, co prędko bardzo dostrzegł Mussolini. Natomiast Hitler, dążąc do urzeczywistnienia marzenia o zupełnym, duchowym zjednoczeniu Niemiec , miał do wyboru dwie drogi: albo całe Niemcy uczynić katolickimi, albo wypowiedzieć walkę katolicyzmowi. Nie mogło ulegać wątpliwości, że wybierze tę drugą drogę."

Jeśli zaś chodzi o *metody*, to nie należało nigdy zapominać o tym, że

„Trzecia Rzesza jest istnością dwuosobową, składającą się z państwa i z partii narodowo-socjalistycznej, która odgrywa mniej więcej tę samą rolę, co Komintern w Sowietach. Ta dwuosobowość pozwala na zajmowanie nader wygodnego stanowiska w stosunkach zarówno wewnętrznych, jak międzynarodowych. A więc np. państwo zawiera jakiś traktat, stypulujący pewne zobowiązania, a partia stwarza atmosferę, w której wykonanie tych zobowiązań staje się zupełnie niemożliwe. Tę metodę usiłowano dotąd bez powodzenia zastosować do Austrii, z powodzeniem natomiast zaaplikowano ją do Gdańska i tą metodą walczy się od chwili zawarcia konkordatu z katolicyzmem."

Istotny sens walki Trzeciej Rzeszy z katolicyzmem zdaje się wypływać stąd, że katolicyzm nie poparł a la longue narodowego socjalizmu, a przecież tego poparcia ze strony katolicyzmu Trzecia Rzesza się spodziewała, zawierając konkordat. Wynika to wyraźnie z niedawnego wystąpienia „Völkischer Beobachter", który stwierdził, że konkordat zawarty był pod warunkiem, iż katolicy poprą régime. Z chwilą jednak, kiedy kler katolicki okazuje negatywne stanowisko wobec rządu — nie można traktować konkordatu, tak jak dawniej. „Niemiecka wierność i lojalność wobec układów musi być regulowana interesami narodu".

Przytaczając te uwagi „Volkischer Boebachtera", *Polska Zachodnia* (nr. 85 z 26.3) dodaje, że ta konkluzja naczelnego organu partii narodowo-socjalistycznej jest

„bardzo ciekawa nie tylko ze względu na konkordat, ale ze względu na wszystkie pakty, proponowane przez Berlin.

Pożyteczna dyskusja

Chodzi tu o dyskusję na temat traktowania spraw mniejszościowych w Niemczech i w Polsce. Dyskusja ta była ostatnio prowadzona na łamach prasy polskiej i niemieckiej. Sprowokowała ją strona niemiecka, wykorzystująca w tym celu niepoważne wystąpienia senatorów niemieckich w czasie ostatniej sesji budżetowej naszego parlamentu oraz wystąpienia Gauleitera Wagnera. Strona polska skwa-

pliwie podjęła tę dyskusję, uważając, że istotnie jest już najwyższy czas, by zastanowić się poważnie nad rzeczami, które stają się dla Polski zagadnieniami palącymi.

Kurier Warszawski (nr. 81) zaopatrzył wystąpienie Gualeitera Wagnera, które zapoczątkowaną wystąpieniami senatorów Wiesnera i Hasbacha „dyskusję mniejszościową" pchnęło o duży krok naprzód, w szereg trafnych i słusznych uwag.

„Nadprezydent t. zw. regencji śląskiej w Niemczech — pisze cytowany „Kurjer Warszawski" — będący zarazem miejscowym, wrocławskim, kierownikiem („Gauleiterem") partii narodowo-socjalistycznej, p. Wagner, może nie zdawał sobie sprawy z tego, jak dalece jego głośna już dziś mowa na temat stosunków niemiecko-polskich na Śląsku dotyka sprawy dla polityki berlińskiej nad wyraz delikatnej. Prawdopodobnie znaleźli się w innych miastach ludzie, którzy, orientując się w kierunku wiatru berlińskiego, inaczej sobie obliczali efekt wagnerowskiej mowy wrocławskiej. Jeśli tak, to trzeba bezstronnie przyznać, że chcąc, nie chcąc, chwila była wybrana szczęśliwie do publicznego traktowania kwestyj, które nie mogą pozostawać wiecznie w dwuznacznym zawieszeniu. Należy tedy uznać za godną pochwały inicjatywę p. Wagnera do rozpoczęcia rozmów o losach mniejszości niemieckiej w Polsce, z pełnym zachowaniem, oczywiście, dla Polaków zasady wzajemności."

Wagner — jak wiadomo — wyraził się tu dosłownie: „Na przyszłość sposób swego postępowania przystosuję do tego, jak w innych państwach będą traktowani Niemcy". „Kurier Warszawski" odpowiada na to:

„Sto razy: brawo! Salomon nie powiedziałby lepiej! Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Nigdy nie wyrzekniemy się tej zasady w życiu międzynarodowym."

A Katowicka *Polonia* (nr. 3470 z 25.3) dodaje jeszcze:

„Trzeba dzisiaj chwycić Trzecią Rzeszę za słowo i to oburącz... Nie tylko przyjmujemy zasadę wzajemności, ale oświadczamy: ta sprawa nie zejdzie już z wokandy w stosunkach polsko-niemieckich."

O granicach »bezgranicznych«

Pojęcie granic było zawsze i jest nadal ruchome. Także w utartym twierdzeniu o granicach t. zw. przyrodzonych, w których doszukiwaniu się bardzo przesadzano, tkwi dużo uproszczeń i złudzeń. W rzeczywistości bowiem o pojęciu granic i ich kształtowaniu się rozstrzyga wola, działalność i życie ludzi w danym obszarze.

Kurier Warszawski (nr. 85 z 26.3) podaje związku z powyższym określenia, jakimi w stosunku do dzisiejszych granic niemieckich się operuje:

„By nabrać słusznego wyobrażenia o granicach niemieckich, trzeba znać pojęcie Niemiec w umysłach samych Niemców. Dzisiejsza nauka niemiecka zna kilka określeń zasięgu niemieckiego, które jednak nazywa się odrazu i po prostu ziemią (Boden), niemiecką w takim czy innym znaczeniu. A więc obok granic prawnych dzisiejszej Rzeszy istnieje obszar narodowy niemiecki (deutscher Volksboden), w którym mieszka także i ludność niemiecka, oraz obszar cywilizacji niemieckiej (deutscher Kulturboden), który rozpościera się jeszcze znacznie szerzej."

Z takich i innych im podobnych pojęć rodzą się te niemieckie granice „bezgraniczne", o których mowa w tytule niniejszej notatki.

Znamienna ewolucja

Wiek Nowy (nr. 10.754 z 28.3) zwraca uwagę na ciekawą ewolucję, jaka dokonała się w opinii wobec czerwonego wschodu i tego, co on niesie.

„Zmiana na całym froncie. Wszakże niedawno te same organy prasowe, które dziś głoszą krucjatę przeciwko wszystkiemu, co lęgnie się poza Stołpcami, prześcigały się w aktach kurtoazji wobec „dorobku wschodniego sąsiada." „Zbliżano się gwałtownie kulturalnie, układano plany współpracy gospodarczej, wizytowano i rewizytowano. A po tym ostry skręt. I dziś człowiek, który pamięta i stara się myśleć, widzi przed sobą pytanie: co było słuszne — to czy tamto? A także: Dlaczego dziś inaczej?"

„Wiek Nowy" pisze dalej:

„Nie ulega wątpliwości, że takie pytania powstają i że zbyt mało trudu się poświęca, by na nie odpowiadać. A przecież należałoby. I nawet nie trzeba zbyt zawiłych argamentów, by wyjaśnić, że tamto było pomyłką, na szczęście dość rychło dostrzeżoną, a to obecne jest właściwe i konieczne. Tamto rzeczywiście było pomyłką. Zdawało się, że nad przepaścią, dzielącą dwa światopoglądy, można przerzucać kładki i bezpiecznie po nich balansować. Wierzono w możliwość wygodnego kompromisu, czerpiącego i stąd i stamtąd, łączącego pojęcia, wybrane z obu płaszczyzn. A tymczasem to było niemożliwe."

Istnieją bowiem światy, ze sobą skłócone i skazane na walkę, w której pokój jest złudzeniem. Takim jest świat komunistyczny i nasz

„Nie dzieli nas — pisze „Wiek Nowy" — sprawa kapitału, podziału dóbr, systemu pracy i systemu rządzenia. To wszystko powstaje, trwa, przekształca się i mija jako forma i kształt. Dzieli nas treść, dzieli nas stosunek do życia i człowieka, kierunek i cel wysiłków, dzieli nas ta sama linia, która rozdzieliła ducha i materię."

U źródeł polemiki

W związku ze spotykanymi ostatnio na łamach prasy staro-endeckiej (Warszawski Dziennik Narodowy Kurier Poznański) atakami na młodych radykałów narodowych, atakami, które swoją pra-przyczynę mają w fakcie wybitnego zdenerwowania kół starych endeków występującym w czasach dzisiejszych nagminnym zjawiskiem wymykania się z ich rąk młodzieży, oenerowskie *ABC* (nr. 93) przypomina po krotce historję definitywnego rozejścia się młodych endeków ze starymi.

„Wiadomo, że w kwietniu 1934 r. wielki odłam młodych narodowców opuścił szeregi Stronnictwa Narodowego. Pomijając szereg okoliczności i szereg spraw z zakresu taktyki i metody politycznej, chodzi tu w pierwszym rzędzie o zagadnienia programowe.

Ci, którzy się od Stronnictwa Narodowego oderwali, byli wyznawcami światopoglądu narodowo-katolickiego w jego nowoczesnym ujęciu. Nie byli obciążeni olbrzymim balastem umysłowym epoki materializmu, demoliberalizmu, a w dziedzinie gospodarczej — kapitalizmu. Dlatego śmiało rzucili hasło przebudowy społecznej w myśl zasad sprawiedliwości katolickiej oraz istotnych potrzeb narodu polskiego".

Zwracając na to wszystko uwagę, „ABC" stwierdza przy sposobności, że w chwili obecnej wpływy ruchu narodowo-radykalnego, który dokonał rozłamu, w szeregach Stronnictwa Narodowego są bardzo silne i że nowoczesne ujęcie nacjonalizmu, propagowane przez oenerowców, idzie od dołu ku górze Stronnictwa Narodowego, likwidując powoli, ale systematycznie to, co jest tej grupie stare, jeśli chodzi o ludzi i stare, jeśli idzie o ideologię.

„Właśnie to zjawisko — pisze dalej „ABC" — budzi najwięcej niepokoju u tych, którym ambicja grupowa i organizacyjna przesłania myśl o potrzebach Narodu Polskiego. I stąd pojawiają się czasem na łamach niektórych organów Stronnictwa Narodowego napaści niewybredne, wydające rozpaczliwie smutne świadectwo ich autorom. Zbyt dobrze znamy Stronnictwo Narodowe, by móc odpowiedzialnością za takie wybryki obciążać całość tego ugrupowania. Musimy tylko postawić pytanie, jakie to siły działają w jego szeregach w ten sposób, by kalumniami oddzielać szeregi narodowców od prawdziwie nowoczesnej myśli programowej, unikając starannie jakichkolwiek prób polemiki z tą myślą, czy przeciwstawienia się jej na płaszczyźnie walki idei?"

„ABC" wysuwa tu interesujące konkluzje:

„Fala oszczerstw w stosunku do ruchu narodowo-radykalnego, która od czasu do czasu przybiera na sile w niektórych organach „narodowych", wynika ze świadomego działania jakichś złych sił. Naszym zdaniem czynnik ten może czasem odgrywać minimalną rolę. Przede wszystkim chodzi o co innego: o ambicje osobiste i grupowe, a także o pewną cechę umysłu, którą dla utrzymania spokojnej formy polemiki nazwiemy brakiem jasnej myśli politycznej."

»Patriotyzm« patriotów...

Kurier Poznański (nr. 125) podnosi słusznie alarm z powodu wzmożonego w ostatnim czasie — na ziemiach zachodnich — kolportażu czasopism niemieckich. Zjawisko to jest o tyle niepokojące, że konsumenci tych czasopism — w lwiej części Polacy — poddają się w ten sposób dobrowolnie infiltracji szkodliwych i niebezpiecznych z punktu widzenia naszych interesów państwowych i narodowych idei i myśli z zewnątrz. Jak bowiem stwierdza „Kurier Poznański",

1) gazety i czasopisma niemieckie kupuje u poszczególnych sprzedawców na dziesięciu klientów dziewięciu Polaków, a jeden Niemiec;

2) ten stosunek dotyczy zarówno dzienników niemieckich, jak i czasopism ilustrowanych;

3) stosunek sprzedawanych czasopism ilustrowanych i t. zw. magazynów polskich do ilości sprzedawanych podobnych czasopism niemieckich ma się mniej więcej jak 5:3, t. zn. na pięć tego typu czasopism polskich sprzedaje się trzy czasopisma niemieckie."

Zgoła inaczej przedstawia się sytuacja, jeśli chodzi o sprawy krajowej prasy polskiej na terenie Niemiec.

„W Niemczech prasa polska nie może dotrzeć w dostatecznej ilości nawet do Polaków tam zamieszkałych. Swoboda wymiany w zakresie kolportażu i abonamentu czasopism między Polską a Niemcami jest fikcją. Polskie wydawnictwa, jeżeli gazety do Niemiec wysyłają, nie mogą doczekać się za nie swojej należności, albowiem przepisy dewizowe niemieckie tak są skonstruowane, że niemal uniemożliwiają zrealizowanie jakichkolwiek pretensji".

W związku z takim stanem rzeczy „Kurier Poznański" apeluje do społeczeństwa, by nie wyrzucało niepotrzebnie polskiego grosza.

Słusznie! Dobrze by jednak było, aby ten sam „Kurier Poznański", który tak zdecydowanie przeciwstawia się importowi niemieckiej bibuły, przy najbliższej nadarzającej się okazji zdobył się na odwagę, by ideowo doń zbliżonym ludziom zwrócić uwagę na to, że nie mniej nienaturalnym zjawiskiem jest *finansowanie niemczyzny w Polsce przez reklamowanie się na łamach mniejszościowych pism niemieckich w Polsce.* To bowiem, co się w tej dziedzinie obserwuje na terenie województw zachodnich, jest naprawdę niewytłumaczalne.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem